ŁOWIEC
ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

† Ś. P.

HENRYK BORCK PREK

ziemianin, wieloletni członek Wydziału Małop. Towarzystwa Łowieckiego zmarł w dniu 10 lutego 1936 r., w Łuce, przeżywszy lat 57.

Towarzystwo, tracąc w Zmarłym jednego z najwierniejszych swych przyjaciół, łączy się wraz z pozostałą po Nim rodziną w głębokiej i serdecznej żałobie.

ALBERT MNISZEK

Hodowla jeleni w Schneeberg n. Elbą

Wiadomość o ubiciu 10-letniego jelenia o 14 kilowym wieńcu zelektryzowała świat myśliwski a z nim i myśliwską prasę. Bardzo interesujący artykuł o hodowli jeleni w Schneeberg i sztucznem ich dokarmianiu umieściło *„The Illustrated Sporting and Dramating News"* z 8 XI 1935, a w *„Deutsche Jagd"* z 24 I. b. r., znajdujemy artykuł dzierżawiącego polowanie w Schneeberg i hodowcy tamtejszych jeleni, p. Franciszka Vogta.

Najwięcej dla nas miarodajnym i interesującym, będzie ten drugi artykuł, pióra p. Vogta, dający nam dokładny obraz i sprawozdanie ze swych zabiegów i doświaczeń nad sposobami, jakie stosował w celu wzmożenia rozwoju rogów u jeleni i rogaczy na swem łowisku, podaję go więc w streszczeniu, sądząc, że zainteresują się nim nasi myśliwi.

Schneeberg nad Elbą, 7000 ha obszar lasu, w Czechach, leży tuż przy granicy saskiej i jest własnością Franciszka hr. Thun und Hohenstein. Polowanie dzierżawi tam od lat p. Vogt. Mimo bardzo korzystnych warunków dla rozwoju żyjącej tam rogatej zwierzyny, pisze p. Vogt, mimo troskliwej wieloletniej opieki nad nią, z roku na rok znižała się ona jakościowo, tak że rzadko kiedy ważył wieniec jeleni ponad 6 kg, również i rogacze osadzały coraz to słabsze rożki.

Pan Vogt jako zawodowy chemik, przeprowadza analizy roślin leśnych i przyszedłszy do przekonania, że brak w nich fosforu i wapna w dostatecznej mierze jest powodem degeneracji rogów, zakłada w Wiedniu specjalne laboratorjum i po wielu próbach i staraniach, wytwarza chemiczną substancję, posiadającą w 90% te dwa brakujące w paszy naturalnej składniki. Nie zastosowuje on jej jednak, jako dodatku do karmy, na całem łowisku, wychodząc ze słusznego założenia, że na tak wielkim obszarze skutki nie dadzą się łatwo i szybko skontrolować, lecz ogradza w nim 140 ha i zwierzyniec ten przeznacza na pole doświadczeń. Dopiero wrazie dodatnich rezultatów, byki wypuszczane na wolność, będą reproduktorami i poprawią rasę na całem łowisku. W zwierzyńcu znalazły się byki nie tubylcze, lecz obce, sprowadzone ze Śląska i ze Slawonji, ze względu na odświeżenie krwi.

Wyniki tego interesującego doświadczenia hodowlanego nie dały długo na siebie czekać i są wprost rewelacyjne!

Jeleń 20-ak o rekordowym, 14 kilogramowym wieńcu, którego podobiznę umieściliśmy w ostatnim numerze „Łowca", ubity w dniu 21 sierpnia 1935 przez p. Vogta, z pochodzenia Ślązak, nie wykazywał z początku tendencji do tak bujnego rozrostu wieńca. Jego zrzuty, jako 3-latka 12-aka w r. 1928, przed rozpoczęciem sztucznego dokarmiania, ważyły tylko kg 1.62. W roku 1929, a więc po roku dokarmiania, ważą już kg 3.50 (14-ak), w r. 1930 kg 5.77 (14-ak), w r. 1931 — kg 7.66 (16-ak), w r. 1932 kg 7.72 (16-ak), w r. 1933 — kg 8.70 (18-ak), w r. 1934 kg 10.20 (18-ak), wreszcie w r. 1935 — wieniec jego o 20 odnogach, waży w 7 dni po ubiciu 14 kg i daje 240 punktów, według metody Nadlera.

Synowie tego byka, znajdujący się w zwierzyńcu, wykazują jednak o wiele bujniejszy rozwój wieńców, gdyż jako 3-latki dały zrzuty o wadze 5 do 6 kg i o 12 do 20 odnóg.

Nasuwa się teraz pytanie, dlaczego p. Vogt tego najstarszego byka ubił w roku zeszłym, dlaczego nie poczekał aż do ostatecznej granicy jego rozwoju.

Jak wiemy, jeleń mając lat 12-cie, dochodzi do szczytu swej doskonałości fizycznej, na której utrzymuje się przez lat kilka, tak, że w 16-tym, czasem dopiero w 18-tym roku życia, schodzić poczyna ku starości, która objawia się w ubytku ilości osadzanych odnóg. Ciekawem byłoby bardzo dla hodowcy - myśliwego stwierdzenie, kiedy ten byk fizycznie by się załamał i do osadzenia ilu końców by doprowadził. Czy nie osiągnąłby on wagi

17 kg i 34 końców fantastycznego byka z Moritzburga, czy przeciwnie, byk nie załamałby się przedwcześnie? Przypuszczam, że hodowca przeznaczy któregoś z synów jego do przeprowadzenia tego doświadczenia. Teraz jednak chodziło mu o stwierdzenie wpływu dokarmiania na stan ogólny organizmu zwierzęcia, czy nie działa ono nań ujemnie w innym kierunku, co dla dalszej tego rodzaju hodowli byłoby rzeczą nader ważną. — Otóż choć ubity byk ważył stosunkowo niewiele, gdyż w całości 230 a po wypatroszeniu 170 kg, dokładnie przeprowadzona sekcja nie wykazała jednak żadnych ujemnych zmian w organizmie i zupełnie normalną zwartość masy kostnej w szkielecie. Zresztą, jak twierdzi p. Vogt, synowie jego dziś 4-latki, okazują się daleko silniejsze w ciele i przypuszczalna żywa waga dochodzi u każdego z nich do 270 kg.

W r. 1934 w zwierzyńcu w Schneeberg dwa trzylatki osadziły po 20 odnóg, dwa trzylatki po 18 odnóg, a jeden czterolatek 24 odnóg. Jestto bezwątpienia pierwszy wypadek tak bujnego, w wczesnej młodości, rozwoju wieńca, i w literaturze łowiecko-przyrodniczej całego świata dotąd nigdy nie cytowany. Stan byków w zwierzyńcu wynosił w r. 1935 — 2 26-aki, 2 24-aki, 4 20-aki, 1 18-aka, 2 16-aki, 11 14-aków, 14 12-aków, 3 10-aki, 2 8-aki i 8 widłaków i szpiczaków — razem 53 sztuk.

W swoim artykule poświęca też p. Vogt krótką wzmiankę sarnom. Sztuczne dokarmianie ich wykazało też znaczny przyrost w rożkach. Konkretnych wyników autor jeszcze nie podaje, Spodziewa się jednak wkrótce doprowadzić rozwój ich do wagi 500 g i nie mam najmniejszej wątpliwości, że mu się to uda.

Tak wygląda w silnem streszczeniu umieszczony w 43 numerze z r. ub. „Deutsche Jagd", artykuł p. Vogta. — Jakie teraz, po przeczytaniu go, nasuwają się nam wnioski?

Nikt nie zaprzeczy, że wyniki sztucznego dokarmiania jeleni i sarn metodą p. Vogta są fenomenalne, mają jednak one narazie wartość tylko teoretyczną. To początek jego doświadczeń. Jest on dopiero w pierwszej połowie budowanej przez siebie nowej drogi. Ale druga jej połowa rozpocznie się wtedy, gdy wypuszczone na wolne łowiska byki o poprawionych wieńcach, zaczną swą rolę reproduktorów. Czy będą płodzić godne siebie potomstwo, czy potrafią zwyciężyć degenerację dokonywaną od lat przez liche byki tubylcze, których przecież tak ze względów praktycznych jak i trudności technicznych odrazu wystrzelać nie można, czy wreszcie one, jak te egzotyczne rośliny, wyhodowane w cieplarniach, z nich wyniesione — na wolnem łowisku przedwcześnie się nie załamią? Odpowiedzi na powyższe pytania możemy się spodziewać za jakich dobrych kilka lat. — Jeżeli Pan Vogt dojdzie szczęśliwie do końca swej nowej drogi, to reproduktorzy z Schneeberg nad Elbą, urodzone już na wolnym terenie, poprawiać będą mogły rasę tej najszlachetniejszej zwierzyny na wszystkich innych łowiskach, lub zastosować się da w nich ta nowa jego metoda. Qui vivra, verra! Życzymy mu szczerze powodzenia.

W najbliższych dniach na półkach księgarskich okaże się książka p. Vogta o nowej metodzie hodowlanej, z zastosowaniem jej do wolnych łowisk, p. t. „Neue Wege der Hege", nakładem J. Neudamm, Neudamm, Berlin u. München. Nie można wątpić, że świat myśliwski przeczyta ją z wielkiem zainteresowaniem.

WITOŁD ZIEMBICKI

MYŚLISTWO A MUZYKA

XII.

Opera Kurpińskiego „LEŚNICZY W KOZIENICKIEJ PUSZCZY"*)

wystawiona we Lwowie dn. 1 lutego 1936, w czasie uroczystej Akademji, urządzonej przez Korpus Kadetów ku czci Pana Prezydenta Rzeczypospolitej.

Korpus Kadetów Nr. I. im. Marszalka Piłsudskiego we Lwowie, przybrał w dniu 1 lutego b. r. szatę odświętną. Dnia tego, jako w dzień imienin Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, prof. Ignacego Mościckiego, miała się odbyć Uroczysta Akademja, połączona z wystawieniem jednoaktowej opery Karola Kurpińskiego „Leśniczy w Puszczy kozienickiej". O godz. 5 popołudniu wielka aula wypełniła się po brzegi. Parter zajęli uczniowie Korpusu, na balkonie, składającym się z szeregu lóż, zasiedli członkowie grona nauczycielskiego z komendantem Korpusu ppłk. Franciszkiem Wielgutem, jakoteż zaproszeni goście. Przed sceną zajęła miejsce orkiestra wojskowa 40 p. p. Reprezentację poprzedziły dwa przemówienia. Pierwsze z nich, wygłoszone przez dra Kiernickiego, profesora szkoły kadeckiej, a poświęcone osobie Pana Prezydenta Mościckiego, zostało zakończone potrójnym okrzykiem „Niech żyje!", poczem orkiestra odegrała Hymn narodowy.

Piszący te słowa miał zaszczyt wygłosić zkolei następujące

PRZEMÓWIENIE:

W przeciągu roku po raz już trzeci urządza Korpus Kadetów produkcje muzykalno-wokalne, których program zaczerpnięty jest z dziedziny łowieckiej. Najpierw była to pamiętna i pierwsza w swoim rodzaju w Polsce, audycja, poświęcona naszej rodzimej pieśni łowieckiej, nadana ze Lwowa na wszystkie rozgłośnie polskiego radja dnia 1 lutego zeszłego roku. Drugą był koncert z dn. 16 listopada 1935, z programem chóralno-orkiestralno-deklamatorskim, trzecią jest wieczór dzisiejszy, a więc znowu, jak przed rokiem, w dniu 1 lutego.

Jestże to rzeczą jakiegoś dziwnego przypadku, że data ta się powtarza? Bynajmniej! Jest ona datą świadomego wyboru. Jest to dzień św. Ignacego, — dzień imienin Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, Profesora Ignacego Mościckiego.

Uczniowie Korpusu Kadetów, hołdując pięknej tradycji staropolskiej, która rozrywki myśliwskie uważała za zabawę rycerską, co to wedle słów Ostroroga **„czasu pokoju ludzie wojenne w pracach, do wojny należących zachowywa i zalęgać im się nie da"**, pragną wspomnieniem tej tradycji uczcić głowę Państwa. Wszak wszystkim wiadomo, że Pan Prezydent Mościcki chwile, wolne od ciężkiego trudu i znoju, chętnie poświęca ukochanemu przez Siebie myślistwu. Oto geneza tej formy hołdu, wyrażanego Pierwszemu Myśliwemu Rzplitej przez młodych rycerzyków, wychowywanych na przyszłych obrońców Ojczyzny w szkole im. Marszałka Piłsudskiego.

Program wieczoru dzisiejszego różni się od obu programów zeszłorocznych. Przebogata spuścizna polska w dziedzinie muzyki i literatury łowieckiej pozwala na wielką

*) Przerywając chwilowo wątek tematu, podaję, ze względu na aktualność, niniejsze sprawozdanie. Treść jego wiąże się z rozdziałami VI i VII. zob. „Łowiec" 1935, str. 97 i 116.

swobodę w wyborze tematów. I kiedy poprzednio były to ulotne utwory muzyczne i piosenki, łatwe stosunkowo do wykonania, obecnie pokuszono się o coś zgoła odmiennego, podejmując zadanie nielada. Ma to być sztuka sceniczna i to opera!

Wiele jest oper polskich, w których w mniejszym lub większym stopniu zużytkowano motywy myśliwskie. Takie opery jak „Straszny dwór" Moniuszki, będące życia staropolskiego zwierciadłem, trudno sobie wogóle wyobrazić bez epizodów myśliwskich, bo przecież zwyczaje myśliwskie stanowiły dawniej integralną część wychowania, a więc i życia codziennego. Mamy echo tych zwyczajów w legendzie, w powieści i w pieśni, mamy je i w operze. W szkicach literackich, publikowanych w „Łowcu" wymieniłem niektóre charakterystyczne przykłady tego rodzaju partyj operowych. Ale obok tego wymieniłem i takie opery, które możnaby nazwać myśliwskiemi. Do nich należy np. jednoaktowa opera Kicińskiego: „Myśliwy czyli dwoje oczu za jedno", albo Kurpińskiego „Leśniczy w kozienickiej puszczy".

Nie trzeba oczywiście oczekiwać czegoś w rodzaju polowania na scenie. Nie będzie więc na niej ani zajęcy, ani nagonki, ani strzelających nemrodów. Niechże wystarczy, że rzecz dzieje się w słynnej i historycznej puszczy Kozienickiej, że akcja toczy się w leśniczówce, o której powie nam gospodarz, leśniczy Poręba, że bywała mieszkaniem królów polskich, do Kozienic na łowy przybywających, że całość, wyjęta z życia starego leśnika a zatem i myśliwego zarazem, zarówno sytuacjami, jak śpiewkami i j ę z y k i e m, nawiązuje wciąż do zwyczajów łowieckich.

Zwróćmy szczególniejszą uwagę na ten język. Usłyszymy niejeden wyraz o dziwnem, niezrozumiałem już dziś znaczeniu, jak echo przebrzmiałe trąbki myśliwskiej, mające ongiś swój dobitny sens, każdym razem ściśle określony, dziś nie dający nam nic prócz brzmienia. Usłyszymy pieśń — będzie to piosnka starego Poręby — obfitującą w takie znane niegdyś powszechnie, a obecnie zapomniane już wyrażenia myśliwskie. Stary myśliwy opowie nam o polowaniu na dzika. Wymieni najpierw po imieniu swe ulubione pieski gończe, czyli ogary, tak jak były parami „posforowane", t. j. po dwa powiązane sforą, czyli specjalnym rzemieniem. A więc:

Zagraj z Szumlasem
Śpiewak z Grzmilasem
Lutnia z Budziszem
Trafna z Błociszem

opowie, jak psy spuszczono ze sfory i puszczono na tropy i będzie naśladował ich głos, zwany „graniem":

Skoro zatrąbiono,
Dzika poruszono
A ja ja ja ja ja ja jaj...
Gonią pieski rachu, rachu
Dzik nie wie co robić w strachu...

A gdy psy poczęły „doławiać", coraz bliżej i bliżej słychać było gon, wreszcie dzik wypada na p. Porębę, ten składa się, — wtem „skałka pstryka" — „pojedynek" przebiega tuż przed nosem zrozpaczonego myśliwego. Psy za nim. Próżno stary trąbi „tiachu, tiachu"! Gon się oddala, a myśliwi drwią niemiłosiernie ze swego kolegi. Mało tego. Niefortunny strzelec miał dostać „sforami" po grzbiecie, ale skończyło się na niczem i tak zeszło to „pole".

Te i owe wyrażenia, rozsiane po tekście, świadczą niemniej i o tem, że sztukę pisał ktoś, z niemi obyty.

Któż to był?

Przenieśmy się na chwilę na teren zupełnie odmienny. Na teren innego teatru: teatru wojny, gdzie odgrywał się dramat nie sceniczny, ale historyczny. Oto rok 1812. Dalekie pola zimnej północy. Moskiewska wyprawa Napoleona, straszliwa klęska pod Borodinem i bezprzykładny odwrót pysznej niedawno armji. Bezładne masy instynktem prą ku Berezynie, na której nie zastaną już mostów... Wśród ogólnego rozprzężenia, upadku ducha i ciała, wśród zimna i głodu, jedna tylko część armji zachowuje dyscyplinę i męstwo. To Polacy. Ironja dziejowa chce, że nagrodzono ich za to rozkazem osłaniania tyłów... Unikając cudem kul, podjazdów kozackich i śmierci głodowej, pewien młody ułan pełni służbę łącznikową i roznosi w tem piekle raporty i rozkazy. W pewnej chwili ratuje rannego generała Zajączka, porywając go na swe barki. W pewnej chwili unosi generała Kniaziewicza, któremu kula łamie nogę. Unosi go i wywozi szczęśliwie w bezpieczne okolice, dążąc do Zegrza. Zegrze bowiem, to miejsce rodzinne młodego ułana. Zarazem miejsce późniejszego jego wiecznego spoczynku. Był to Józef Krasiński. Potomek znakomitego rodu, ziemianin i wielki pan, ożeniony z niezmiernie bogatą panną Ossolińską, osiada on po klęsce napoleońskiej na stałe w Warszawie i tu, zamieniwszy szablę na pióro, poświęca się pracy literackiej, do której zawsze czuł pociąg. Wydaje własne czasopismo, zakłada własną drukarnię, a obok innych prac zaczyna na prośbę dyrektora teatru Osińskiego pisać sztuki teatralne.

A były to czasy dla teatru polskiego ważne i pamiętne. Rodziła się także rodzima polska opera. Krasiński zapoznaje się ze słynnym już wówczas kompozytorem, Karolem Kurpińskim i pisze dlań libretto do opery „Zamek czorsztyński", niebawem zaś drugie, to „Leśniczy z kozienickiej puszczy". Nie jest to opera w dzisiejszem słowa znaczeniu. Wzorem wielu oper ówczesnych jest ona raczej sztuką, przeplataną śpiewkami. „Leśniczy w kozienickiej puszczy" wystawiony był po raz pierwszy w Warszawie w r. 1821. Wystawiony był dwa razy i na tem się skończyło. Libretto Krasińskiego było wydane drukiem i zachowało się w pojedyńczych, rzadkich egzemplarzach. Ale muzyka Kurpińskiego nie była nigdy wydana i zdawało się, że zaginęła. Tak zdawało się jeszcze przed kilku miesiącami. Poszukiwania, podjęte przezemnie w Warszawie, nie dały żadnego rezultatu. Wiedząc jednak, że wiele materjału operowego, ręcznie pisanego, zgromadzono onego czasu we Lwowie, gdzie teatr polski święcił na początku zeszłego stulecia wielkie trjumfy, powziąłem myśl zaglądnięcia do starego archiwum tutejszego teatru. I oto, dzięki czynnej pomocy prof. Krzyńskiego, który osobiście podjął się wertowania pożółkłych foljałów, znaleźliśmy rzecz upragnioną. Był to nie oryginał wprawdzie tylko odpis, ale zupełnie to wystarczyło do wskrzeszenia cennego zabytku w epoce n. b., gdy cała Polska święciła 150-lecie urodzin Karola Kurpińskiego, niezapomnianego twórcy muzyki do „Krakowiaków i górali".

Za chwilę usłyszymy dźwięki piosenek tego kompozytora, którego utwory krzepiły ducha patrjotycznego w pierwszych okresach porozbiorowych. A zarazem przemówi przez usta wykonawców drugi autor, autor słów. Słuchając ich, przypomnicie sobie mili słuchacze, że pisał je ktoś bliski Wam przedewszystkiem duchem, jako polski żołnierz, jako dzielny przedstawiciel owej niezrównanej konnicy, która to sławę imienia polskiego roznosiła jak Europa długa i szeroka, od Borodina do Samosierry, od Ziemi włoskiej do Lipska, — w służbie orłów napoleońskich wprawdzie, ale dla miłości Orła białego.

A więc, Panie „Leśniczy z kozienickiej puszczy", pokaż swe oblicze! Będziemy Cię oklaskiwali gorąco, chociaż trącisz starzyzną, — a może właśnie dlatego. Ale i Ty, wraz z całem swem towarzystwem, uśmiechniesz się do nas serdeczniej, niż wtedy, kiedyś przed stupiętnastu laty stanął po raz pierwszy przed publicznością. Uśmiech Twój pomiędzy powstaniem kościuszkowskiem, a powstaniem listopadowem, był smutny. Dziś natomiast święcisz swój benefis w obliczu młodego pokolenia odrodzonej Polski.

Uznanie należy się p. prof. Krzyńskiemu za trud w przygotowaniu części muzycznej i dorobienie uwertury, jakoteż p. Tarnawskiemu za dobór wykonawców i wyreżyserowanie całości. Ale nadewszystko należy się wdzięczność p. Komendantowi Korpusu płk. Wielgutowi, za poparcie

zamierzenia, wzięcie go w opiekę i zrealizowanie reprezentacji w tym dniu uroczystym.

Cześć Pierwszemu Korpusowi Kadetów!

* * *

Przedstawienie powiodło się bardzo dobrze. Część muzyczna odsłoniła pierwszorzędne walory kompozycji Kurpińskiego, który operę tę pisał pod koniec swej karjery twórczej. Widoczne wpływy włoskie, jakim dał tu wyraz, nie odbierają przecież całości oryginalnego i swoistego piętna. Na szczególniejszą uwagę zasługuje opracowanie muzyczne, a nadewszystko napisanie doskonałej uwertury, przez p. Mieczysława Krzyńskiego, prof. muzyki i śpiewu w Korpusie Kadetów. Uwertura oryginalna Kurpińskiego, zapewne niegdyś istniejąca, nie została dotychczas odszukana. Do wykonania partyj solowych zaproszeni byli artyści operowi, mianowicie: p. Z. Jurkiewicz (główna rola leśniczego Poręby), p. L. Mańkowska (siostrzenica Poręby, Ludwika), p. W. Jędrzejewska (rola Zosi), p. W. Karwicz (rola Zacniewskiego). Trzy role odśpiewali kadeci: Z. Hończyk (rola porucznika Walczyńskiego), T. Stecki (służący Poręby) i S. Gościniak (służący Zacniewskiego). Częścią dekoracyjną zajął się kadet, K. Stohandel. Reżyserja spoczywała w ręku doświadczonego i pierwszorzędnego fachowca, p. Stanisława Tarnawskiego, artysty operowego, który też nie żałował trudu, ażeby z niezgranego zespołu wydobyć wszelkie możliwe walory i sharmonizować go w sposób artystyczny. Niedociągnięcia, jeżeli były, pochodziły stąd, że Lwów, ogołocony niestety obecnie z sił operowych, nie mógł dostarczyć wszystkich wykonawców takiej miary, jakaby była pożądana. Miejmy nadzieję, że wskrzeszenie cennego zabytku nie skończy się na tem jednem przedstawieniu, ale że nastąpią i dalsze. Istnieje projekt, ażeby „Leśniczego w Puszczy kozienickiej" wystawić w czasie obchodu jubileuszowego M. T. Ł., przewidzianego w lecie r. b. z okazji 60-lecia towarzystwa. C. d. n.

Gdy wróci wiosna...

Z białych obłoków rydwan spleciony,
w klucz zaprzęgnięty żórawi-rumaków,
w wieńcu na głowie — zamiast korony —
z pierwiosnków złotych, wśród błękitnych szlaków
prowadzi wiosna!

Ziemia radosna
wita ją w cudu godzinie.
Zimno już prędko przeminie!

W łąkach pachnące rozścieli się ziele,
gardziołki ptasząt otworzą się śmiele,
potok się srebrny rozgada
i żab się zacznie narada.

I leci wiosna
młoda, radosna
w kwiatów i liści koronie,
wesoło leci nad światem!
Gdzie rzuci liściem, lub kwiatem,
tam miłość bujnie zapłonie!

Brzmi pieśnią bór,
gdy rubinowe słońce
gasi blaski skrzące
na piersiach gór!

Noc! — Czerwień w fiolety
się zmienia. Bukiety
róż po niebie. To anieli
w śnieżnej bieli
po lazurach tak latają,
pająk nocy zaświecają...

LEOPOLD PAC-POMARNACKI

Tchnienie wiosny

Jaskrawe, wiosenne słońce leniwie zasuwało się za przeświecającą się ścianę świerkowego boru. Złote strzały promieni przez krótką chwilkę grały jasnym odblaskiem pożogi na szybach leśniczówki w Osince, potem, poprzez przejrzyste tafle szkła przedostały się do wnętrza i spoczęły na bladej twarzy leżącego w łóżku dziewczęcia. — Pieszczotliwem muśnięciem przesunęły się one po zamkniętych, dużemi cieniami podkrążonych oczach, zatrzymały się nieco na wychudzonym, zaostrzonym przez cierpienie nosie i zapaliły złoty płomień na rozrzuconych w nieładzie po poduszce puklach jasnych włosów.

Alina poruszyła parokrotnie zwartemi powiekami i otworzyła duże, niebieskie oczy. Jej nawpół przytomne, senne wejrzenie pobiegło ku oknu, objęło zrudziałe kępki mchu, przyciśnięte brunatnemi szyszkami, tworzącemi upiększenie podwójnych okien i zlustrowało wierzchołki widniejących za szybą o kilkanaście kroków od domu świerków.

Wszystko to znała już doskonale. Od dwóch miesięcy nie opuszczając łóżka, wpatrywała się całemi dniami w te szorstkie, usiane zielonemi igłami, strzeliste pędy świerkowych wierzchołków, w te szerokie, miotlaste łapki gałęzi, z końcami podgiętemi fantazyjnie ku górze, jak ozdobne festony jakiejś trjumfalnej bramy, w te grona zwisających bezładnie szyszek, z których szalejący niekiedy wicher odrywał pojedyńcze okazy i rzucał niemi w gontowy dach leśniczówki, jak piłkami w stół ping-pongowy.

Gdy to ciężkie, dokuczliwe cierpienie powaliło ją na łóżko — na dworze panowała jeszcze zima. Był to najprzykrzejszy dla niej okres czasu. Wówczas bowiem okno, ta jedyna furtka na świat, powlekało się białą, skrzącą się zasłoną, przepuszczającą zaledwie światło dzienne. Mleczna, matowa powłoka, obsiadająca w mroźne noce szyby, utrzymywała się aż do wieczora, pozbawiając chorą jedynego widoku na rosnące przed domem świerki. Czasami tylko w południe, gdy pieszczota słonecznego blasku stawała się bardziej natarczywą — w lodowych deseniach rozsiadłych na szkle, tworzyło się nieco większych luk, przez które stęskniony wzrok Aliny biegł ku zielonej gromadzie kolosów leśnych, otaczających wysoką ścianą leśniczówkę w Osince.

Wtedy na skroniach Królowej zapłonie
z pereł i dyjamentów mocarna korona,
z Jej ramion spłynie aksamitną togą
strop przepasany mlecznych dróg pożogą,
a ziemia w rosie wiosennej utonie
i u stóp Przenajświętszej zaśnie rozmodlona.

—o—

Stary myśliwy podąży w dąbrowy,
jakby starości ubyło na grzbiecie.
Stanie, by słonek posłuchać rozmowy,
i wieniec z wspomnień młodzieńczych uplecie.

Choć czas nie zawróci i nic się nie zmieni,
dziadek pośród kosów rozkochanych pieni,
do Boga wzniesie wdzięcznie szept radosny,
że dał doczekać jeszcze jednej wiosny.

Albert Mniszek



MICHAŁ K. PAWLIKOWSKI

Poezja niefortunnych łowów

Nieraz słyszę zdanie, że człowiekiem naprawdę szczęśliwym jest nie ten przysłowiowy człowiek bez koszuli, lecz ten, kto jakimś nadludzkim wysiłkiem potrafił wyzbyć się wspomnień. Że wspomnienia — to śmietnik bezużytecznych zwiędłych kwiatów, które nietylko pożytku nie przynoszą, lecz zatruwają serce i mózg wonią rzeczy umarłych. Że t. zw. miłe wspomnienia albo wogóle nie istnieją, jeżeli teraźniejszość jest miłą, albo jeszcze jaskrawiej wykazują nam nędzę teraźniejszości smutnej. No, a przykre wspomnienia są poprostu przykre, więc czy nie byłoby rozkoszą pozbyć się ich nazawsze?

Dużo prawdy tkwi w tej nieskomplikowanej filozofji. Jednak, po pierwsze, w ciężkich czasach dzisiejszych łatwiej bez koszuli, niż bez wspomnień, po drugie — ludzie wyposażeni przez naturę w błogosławioną żyłkę myśliwską są fenomenalnym wyjątkiem: nie boją się wspomnień. Wspomnienia myśliwskie nie mają w sobie gorzkiego zapachu rzeczy umarłych. Wspomnienia myśliwskie nie umierają. Wspomnienia myśliwskie są czyste, jak pierwsza porosza, mocne, jak woń bahunu, słodkie, jak leśne maliny.

Wspomnienia myśliwskie są proste i tajemnicze. Nie są one ani złe, ani dobre, ani przykre, ani miłe, ani słodkie, ani gorzkie. Są one tylko — myśliwskie.

* * *

Wspomnienia myśliwskie — to album magiczny, do którego się powraca z dreszczem poprzedzającym pierwsze spotkanie. Karty tego albumu odwracam zawsze z podobnem uczuciem, z jakiem szedłem na pierwszą w życiu schadzkę miłosną. Choć czaszka wyłysiała, choć skronie

---

Lecz takie chwile zdarzały się rzadko. Najczęściej zlodowaciała skorupa trzymała po całych dniach niewolniczo uległe szyby. Wówczas zbiedzone wejrzenie dziewczęcia ślizgało się po tych iskrzących się gwiazdkach i kwiatach, wyszukując wśród nich coraz to nowych wzorów i upiększeń, aż wreszcie zmęczone ostrą grą światła na zamarzniętem oknie, przenosiło się na międzyokienne dekoracje z szyszek i mchu. Wpatrywała się godzinami w zeschłe, piórkowate kępki, przeniesione tu gdzieś z leśnego podszycia, z pod prastarych pni drzewnych, czy ze zbutwiałych, gnijących gałęzi, które podmuch wiatru wtrącił pomiędzy przyziemną ciżbę wiecznie zielonych krzewin borówkowych.

Ale promienie słoneczne z dniem każdym nabierały ostrości i mocy. Powleczone lodem okna stopniowo zaczynały się oczyszczać, zraszając się nitkami ściekającej wody. Szerokie, płaskie konary świerków jęły się pozbywać białego nalotu śniegu, który przy lada podmuchu wietrzyka, spadał na ziemię rozmokłemi grudkami, staczającemi się po gałęziach, pomagając im w wyzwalaniu się z hańbiącego piętna zwycięskiej dotąd zimy. Bywały nawet dni, w które połyskujące tafle szyb pokrywały się drobnemi centkami kropel deszczu, które, łącząc się ze sobą — spływały wężykowatemi strugami wdół. Wiosna sygnalizowała radośnie swój powrót na ziemię. Znać ją było w roześmianym błysku zabłąkanych w pokoju promyków coraz silniej dogrzewającego słońca, znać ją było i w buńczuczno-hardej postawie świerkowych wierzchołków i gałęzi, targanych podmuchami wiosennych wiatrów.

Chora czuła w sobie jakąś dziwną przemianę, jakiś nadspodziewany przypływ radości i energji. Cierpienie i samotność znosiła teraz o wiele lżej, wyzbywała się pośpiesznie zaczątków ogarniającej ją uprzednio melancholji, chciała żyć, chciała się cieszyć i weselić. Zajęty służbowemi sprawami brat — leśniczy, zaledwie krótkie chwile mógł spędzać u łoża chorej Aliny, ale i on dostrzegł tę nagłą zmianę w usposobieniu siostry i powitał ją radośnie, jako objaw poprawy stanu jej zdrowia.

Dziewczę nie czuło się jednak zbyt dobrze. Długotrwała choroba wyczerpała jego siły, ustawicznie podwyższona temperatura zdarła krasę z przybladłych lic, pokrywając je sztuczną łuną rumieńca. Wychudłe ręce były dziwnie żółte i kościste, całem ciałem władała jakaś niemoc, krępująca ruchy i mrocząca umysł uczuciem stałej senności.

posiwiały, choć grymas przekroczonej czterdziestki osunął kąciki warg, choć od błogosławionych czasów anielskich minęło dobrych lat trzydzieści — znów widzę mego pierwszego zająca... Widzę jak z brzozowego gaju przez leśną polanę zbliża się do mnie ukośnie, słyszę daleki jeszcze, dźwięczny jak dzwonek porcelanowy, gon Dunaja... Jakaż siła sprawiła, że Dunaj, którego kości dawno zbielały na jakimś wygonie, znów ożył i goni... że widzę jego pysk zziajany i poczciwe z obwisłemi dolnemi powiekami oczy. Że ożyła i wieje mi w pierś wonią liści więdnących spowita w srebrne hafty babiego lata knieja — knieja rozdzwoniona gonem — knieja, którą później traktat ryski zaprzedał Kołchozom?... A zwłaszcza jakaż moc sprawia, że odwróciwszy tę kartę wspomnień, nie załamuję rąk w bezsilnym i jałowym smutku, lecz jasno i spokojnie patrzę w przyszłość?!... Myśliwi wiedzą dobrze, jak tej mocy na imię!

* * *

Dla myśliwego niema wspomnień niemiłych. Zawody i niepowodzenia łowieckie mają również jakiś swoisty czar. „Haniebne" pudła i tym podobne z dysgracji św. Huberta pochodzące czarne karty dziennika myśliwskiego sprawiają ci przykrość chwilową — i to tylko wobec kolegów: nie unikniesz „szyderstw towarzyszy", jak oni nie unikną twoich szyderstw jutro czy pojutrze. Nie unikniesz ironicznego uśmieszku siostry, żony, ciotki, córki, lub zgoła kucharki, albo innej nadobnej przedstawicielki tego zaiste „niemyśliwego narodu", gdy z pustemi rękami powrócisz z łowów. Czy będziesz im tłumaczył, że dusza pełna wrażeń droższą jest od torby pełnej zwierzyny?... Machniesz tylko ręką, pomyślisz: — co mnie i tobie, niewiasto, — z apetytem wilczym zabierzesz się do posiłku, a gdy sen ukoi chwilową gorycz niepowodzenia i ześle odpoczynek strudzonym mięśniom — zerwiesz się wesoły, jak dziecko i zaczniesz układać plan jutrzejszych łowów.

A po kilku tygodniach, gdy przypomnisz sobie ów „straszliwy" dzień czy ranek niepowodzeń, owego przegapionego wilka lub spudłowanego głuszca, to przekonasz się ze zdziwieniem, że w duszy twojej niemasz już goryczy! „Czarna" karta raptularza myśliwskiego nabierze barw żywych i wesołych. Wilk przegapiony i głuszec spudłowany nabiorą w tej pamięci tej samej wartości, co wilk martwy, szczerzący martwe zęby z dywanu i wypchany głuszec roztaczający na ścianie wachlarz zakurzony... Ba, może nawet większej!... Bo te ubiłeś i zawłaszczyłeś, a tamte uniosły z sobą w niewiadome tajemnicę swego zwierzęcego bytowania razem z tajemnicą twego „pecha" myśliwskiego. I dlatego będą ci droższe aż do końca twego łowieckiego żywota!

* * *

Listopad 1914 roku w Mińsku Litewskim... Był to okres, gdy po gorączce pierwszych dni sierpniowych zaczęła się apatja wojny, apatja „tyłów", apatja burzy, która przeszła w stan chroniczny. Wojnę odczuwaliśmy w Mińsku tylko dzięki sławetnej prohibicji rosyjskiej: kieliszek sznapsa był na wagę złota. Pozatem wszystko działo się tak, jak gdyby wojny nie było.

— Jedziemy na łosie do Łohojska!

Z takim okrzykiem wpadł do mnie wieczorem do naszego mieszkania mińskiego mój przyjaciel Henio R., późniejszy ułan krechowiecki, poległy w szarży w r. 1919, a wówczas student uniwerku petersburskiego, jak i ja.

Nie pytałem, co i jak. Kożuszek, dacha, strzelba w futerale, parę ładunków żakanowskich do kieszeni, mała walizka do ręki — i już siedzimy z Heniem w bryczce niemiłosiernie trzęsącej po kocich łbach przedmieścia. — Wkrótce miasto i kocie łby skończyły się, ale zaczęła się męka straszliwej grudy: listopad był mroźny w owym roku. Jechaliśmy trzydzieści wiorst noga za nogą; z początku rozmowni, potem małowówni, wkońcu milczący i źli. Niebo iskrzyło się; mróz, mimo dach i wilczury, doskwie-

---

A tymczasem na dworze panowała wiosna. Ogrzane w ciągu dnia szyby — wieczorami, pod wpływem wzrastającego chłodu — potniały, pokrywając się mętnym witrażem. Niebo powlekało się barwami pięknego seledynu, czy szafiru, czasami płonęło złotem, lub nasiąkało różowością. Ciepły wiatr poruszał czubami świerków, wygrywając w zielonej plątaninie gałęzi rzewne melodje, których dźwięki docierały niekiedy aż do uszu chorej.

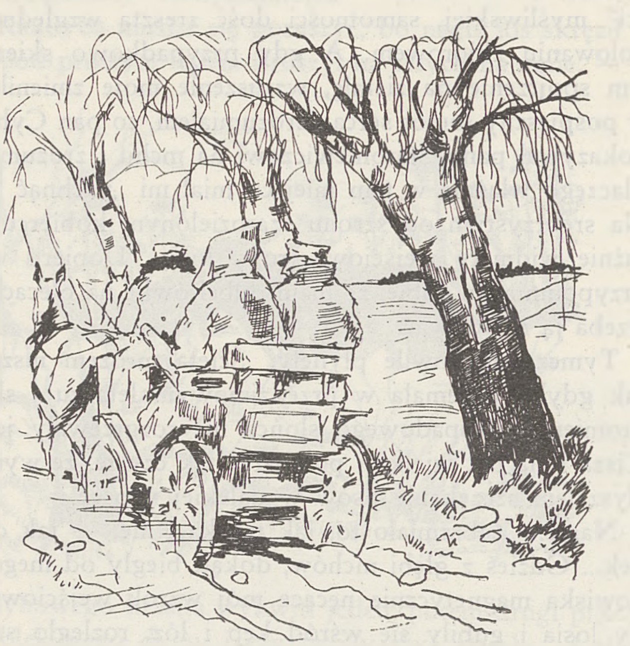
Któregoś dnia leśniczy przyniósł parę zabitych cietrzewi. Widok czarnych, pięknie połyskujących ptaków zbudził w Alinie rozkoszne wspomnienie wiosenne, ścisnął jej serce bezlitosnemi kleszczami bólu. Nie mogła patrzeć na barwne ptaki, leżące na podłodze w sąsiednim pokoju. Zbyt żywo bowiem stanął jej w oczach epizod z przed paru lat, kiedy to w dniu swoich urodzin — otrzymała od brata w podarunku piękny aparat fotograficzny. Chcąc go wypróbować, wczesnym rankiem zagłębiła się w stary bór świerkowy, przechodzący dalej w błotnisty mszar, obramowany szpalerem wysmukłych, subtelnych w kształtach i barwie młodych brzózek. Jaskrawe kolory pogodnego dnia wiosennego przyoblekły otoczenie w rozległą skalę najrozmaitszych odcieni złota, szafiru i zieleni. — W leciuchnym powiewie wiatru chwiały się wiotkie pręty drzew o dużych nabrzmiałych pączkach, z których wyglądały nieśmiało ciasno zwinięte zaczątki liści.

Alina usiadła na dużym kamieniu, porosłym zielonemi wisiorami mchu i siwych porostów, zamierzając zrobić zdjęcie podmokłego mszaru, pięknie zarysowującego się parasolami karłowatych sosenek na tle jednolitego bez chmurki nieba, barwy bladego turkusu, przechodzącego u zenitu w ciemny granat.

Już w objektywie błysnął rząd pokracznie powyginanych drzewek mszaru, już ruda plama wszystkich kęp wypełzła na połyskujące w słońcu oko soczewki, kiedy nagle cały widziany obraz przekreśliła duża czarna plama, zatrzymując się na baldachimie pobliskiej sosenki. Wzrok znieruchomionej dzieweczki oderwał się od aparatu i pobiegł po zielonych pękach igliwia w dal.

O kilka kroków, na czubku kołyszącej się gałęzi siedział krępy, czarny cietrzew. Opuścił zaokrąglone, białemi pasmami znaczone skrzydła, roztoczył pyszną lirę z wyzierającem z za niej atłasowo-białem podbiciem. Jasna purpura brodawkowatych, nabrzmiałych brwi, ostrą czerwienią biła z ciemnego, połyskującego tła upierzenia. Nie po-

rał od dołu; nawet młode nasze kości miały pod koniec dość straszliwej grudy. A najgorzej, że tego końca nie było widać, no — i te łosie nie były zupełnie pewne...



Po dwóch godzinach takiej jazdy, przyszła chwila, gdy nam się wydało, że nareszcie męka nasza się skończyła. Bryczka skręciła w bok i w górę i koła zaturkotały po względnie gładkiej szosie. Uf, nareszcie! — westchnęliśmy z rozkoszą. Ale rozkosz nie trwała długo. Na szosie szkliła się gołoledź, a konie nie były ostro kute i ślizgały się co chwila: musieliśmy znów jechać stępa. Najgorsze było jednak przed nami. Wszystko szło jako tako, póki jecha=liśmy po równinie, lecz w pewnem miejscu droga poszła ostro w górę. Po obu stronach drogi biegł głęboki rów, a za nim czarna ściana lasu. Jakimś „nadkońskim" wysił=kiem wygramoliliśmy się do połowy góry i tu nastąpiła katastrofa. Jeden koń poślizgnął się i upadł na bok, po chwili to samo zrobił drugi. Zatrzymaliśmy się?... To byłoby jeszcze pół biedy!... Oto zaczęliśmy wszyscy t. j. dwa konie leżące na boku, furman, bryczka i my dwaj w bryczce powoli, potem coraz prędzej ześlizgiwać się w dół po wypolerowanej gołoledzią drodze. Straciliśmy głowy kompletnie i siedzieliśmy skuleni w bryczce cze=kając katastrofy — tylko ręce trzymały się kurczowo po=ręczy. Nie wiem jak długo trwała ta niesamowita jazda wstecz: zapewne dość długo, gdyż oszerszeniałe boki nie=szczęśliwych szkap grały znakomicie rolę hamulców. Po=mimo ostrego mrozu pot nam wystąpił na czoło, a po mózgu tłukła się uporczywie myśl: rów, rów, rów... — Zaiste jednak jest jakieś bóstwo opiekuńcze, które opie=kuje się nie tylko dziećmi i pijakami, lecz i myśliwymi. Degringolada nasza odbywała się z matematyczną ścisło=ścią środkiem jezdni i zboczyła dopiero w miejscu, gdzie się kończyła „elewacja" drogi. No, teraz będzie rów... Ale bóstwo opiekuńcze opiekowało się nami do końca i usta=wiło w miejscu „krytycznem" słup telefoniczny. Tył brycz=ki trzasnął groźnie o słup, ale wytrzymał... Zatrzymaliśmy się...

Dzięki furmańskiej znajomości terenu, znaleźliśmy ja=kąś objazdkę i z czterogodzinnem opóźnieniem zmarznię=ci, wytrzęsieni i głodni, ujrzeliśmy wreszcie czarną masę parku łohojskiego, z tej masy tu i ówdzie gościnnie i przy=tulnie błyszczały światła.

— Ciekaw jestem, czy to dobry omen, czy zły? — rzekł Henio.

— Co?

— Nasza podróż z przygodami...

Nie odpowiedziałem. Bo mam przesąd, że niedobrze jest przed polowaniem omawiać kwestję przesądów.

Nazajutrz powitał nas prześliczny poranek, jakim zrzadka obdarza nas ponury listopad. Niebo bez chmurki, słońce, lekki mróz, cisza... Po raz drugi — już w świetle

---

dejrzewał tak bliskiego sąsiedztwa człowieka... Marzył o miłości, o zdobytej w walce kochance, którą przed chwi=lą posiadł.

Nie patrząc na aparat, machinalnie nacisnęła pompkę, ciesząc nadal wzrok harmonijną sylwetką lowelasa. Cichy trzask migawki spłoszył ptaka, wyrywając go z rozkosz=nej ekstazy. Lecz na zdjęciu pozostało już utrwalone na zawsze odbicie cietrzewia, ciemną plamką znaczącego się wśród pióropuszów igliwia.

Jak obłok mgły, zepchnięty falą wiatru, rozwiało się wspomnienie przeżytego przed laty epizodu, a rozżalone wejrzenie dziewczęcia pobiegło jak zwykle ku szybie, ob=lanej złotą strugą ostatnich promieni zamykającego swe oko słońca. Koronkowo rzeźbione czuby świerków za=rzyły się jasnym bronzem, otoczone wąziutkiem pasmem płonącej aureoli, która ciemniała coraz bardziej, blakła, gasła.

Wzrok Aliny błądził jednak nadal po rudo=zielonych, szorstkich pędach wierzchołków, z których zaszłe już słoń=ce zdjęło ostatni blask. I nagle na czubku świerku usiadł jakiś ptak. Ożywił się wzrok chorej i spoczął na nim. Wyglądał w zestawieniu z potężnemi konarami drzewa maleńki jak koliber, a jednak po smukłej, kształtnej jego sylwecie dzieweczka poznała, raczej intuicyjnie wyczuła w nim drozda=śpiewaka, najmilszego konferansjera wio=sny.

Przez krótką chwilę ptak siedział nieruchomo. Potem zmienił dotychczasową pozycję, podniósł wysoko głowę, poruszył zwisającym sztywno ogonem... W pokoju pa=nowała cisza, żaden dźwięk nie docierał tutaj z podwórza przez uszczelnione, podwójne okna, a jednak Alina wie=działa, że drozd rozpoczął swoją fletową arję wiosenną, pełną pięknych trelów i przymilnego kwilenia, umiejętnie urozmaiconego krótszemi lub dłuższemi pauzami. Wytę=żony słuch dziewczęcia, poprzez łomot w uszach przyśpie=szonego tętna krwi, napróżno starał się ułowić choćby najlżejszy szmer, jednak nic nie mąciło przerażającej mar=twoty.

A drozd śpiewał. Jego charakterystyczny, subtelny pro=fil sylwetki tkwił sztywnie na czubku świerkowej strzały, świadcząc o trwaniu ptaka w przepotężnem radosnem upojeniu, w jakiejś tajemnej ekstazie miłosnej. Już zgasły na niebie ostatnie refleksy utajonego za horyzontem słoń=ca, już szafirowy zmierzch jął od spodu zatuszowywać

dziennem — oglądaliśmy naszą kompanję myśliwską. — Było nas sześciu: dwaj panowie z administracji łohoj= skiej, z których jeden nadleśny p. Cybulski, szlachcic za= grodowy p. Kandyba, przemysłowiec miński p. Staronie= micz, Henio R. i ja.

Pociągnęliśmy numerki. Pierwszy miał stanąć Henio, potem ja, potem pan Kandyba, potem pan Staroniewicz i reszta.

Knieję stanowiła „półmszaryna", gdzie prócz łozy i kar= łowatej sośniny rosły pojedyńczo większe sosny i brzozy.

Już mieliśmy się ustawiać wzdłuż linji oddziałowej, gdy nieopacznie wyrwało mi się pytanie:

— Skąd pójdzie naganka?

Pan Staroniewicz spojrzał na mnie z wyższością:

— Nie będzie żadnej naganki. Do ostępu pójdzie je= den leśnik z gończakiem.

— Z gończakiem? I łosie mają koniecznie wyjść na na= szą linję?

Pan Staroniewicz zerknął na mnie już nie z wyższością, lecz z wyraźnem politowaniem i odparł:

— O to już niech się pan nie kłopocze...

Pierwszy stanął Henio, ja zaś ruszyłem dalej za grupą myśliwych, starając się iść możliwie cicho i ostrożnie, wy= bierając kępy mchu, których zmarznięta powłoka łamała się z trzaskiem, ukazując czarne błoto. Po ujściu kilku= dziesięciu kroków grupa myśliwych zatrzymała się. Sta= nąłem i ja. Zauważyłem, jak pan Staroniewicz naradzał się po cichu z panem Cybulskim, który mu pokazywał coś na mchu. Wreszcie pan Cybulski zbliżył się do mnie i spytał szeptem:

— Pachnie panu łoś?

— Pachnie.

— A nie spudłujesz pan?

— Postaram się...

— No to stawaj pan tutaj.

Trzask kroków oddalających się myśliwych ucichał po= woli. Ujrzałem, jak pan Kandyba sadowił się za krzakiem łozy. Spojrzawszy na lewo, dojrzałem Henia R. opartego o pień wysokiej sosny. Ogarnęło mnie wzruszenie: roz= począł się krótki, lecz najrozkoszniejszy okres „samotno= ści" myśliwskiej, samotności dość zresztą względnej na polowaniu zbiorowem. A gdy przypadkowo skierowa= łem spojrzenie na ziemię, wzruszenie moje zmieniło się w pośpieszny łomot serca. Zrozumiałem, co pan Cybulski pokazywał panu Staroniewiczowi na mchu i zrozumiałem dlaczego właśnie w tem miejscu miał mi „pachnąć "łoś... Na srebrzystym od szronu szarozielonym kobiercu, wy= raźnie widniały wejściowe tropy łosia. Dopiero wtedy przypomniałem sobie, że mam dubeltówkę na plecach i że trzeba ją naładować.

Tymczasem chwile płynęły. Ścięta mrozem mszaryna jak gdyby drzemała w przedzimowym letargu i skośne promienie listopadowego słońca nie rozgrzewały jej. — Cisza była tak wielka i powietrze tak czyste, że wyraźnie słyszałem szczekanie psów w dalekiej wiosce.

Nagle... Zabrzmiało to, jak trąbka... nie, — jak dzwo= nek... Gdzieś z głębi mchów, dokąd biegły od mego sta= nowiska magnetycznie nęcące mój wzrok wejściowe śla= dy łosia i gubiły się wśród kęp i łóz, rozległo się raz i drugi jękliwe doławianie się... Ciepła fala uderzyła mi do skroni i uszu i na chwilę odebrała mi słuch. A gdy odzyskałem słuch, już wyraźnie słyszałem urywany, wy= soki, trochę zachrypnięty gon pojedyńczego psa. Gon zbliżał się wyraźnie. Nie było to melodyjne granie ra= sowego gończaka: — raczej zajadły wściekły dyszkant kundla, który oszczekuje kota.

Ujrzałem wreszcie to, o czem nieraz marzyłem, a co do= tychczas znałem tylko z obrazów Henryka Weyssenhoffa. Na prawo od mego stanowiska — wprost na p. Kandybę — sunął łoś. Rzecz dziwna: w przeogromnem wzrusze= niu, które mnie ogarnęło, znalazło się miejsce na refleks, jak gdyby rozczarowania, że wszystko wygląda właśnie

---

ciężkie świerkowe konary, a wciąż jeszcze szaropióry bard lasu wieścił światu nadejście święta radości i kochania.

I wtedy w sercu dziewczęcia zbudziła się nagle niepo= skromiona tęsknota do lasu i pól, do ciepłego tchnienia wieczornego wietrzyka i modlitewnego szmeru drzew. — Zapragnęła gorąco usłyszeć melodyjny śpiew drozda, ucieszyć zmęczone monotonnością krajobrazu oczy, wi= dokiem wiosennego pejsażu, — wsparta o gruby pień drzewa, spojrzeć na okolicę. W jej umyśle powstał sza= leńczy projekt. Zerwała się pośpiesznie z łóżka i zaczęła się ubierać, spoglądając ukradkiem na drzwi, czy głucha= wa gospodyni nie posłyszy jej kroków. Narzuciwszy cie= płe futro — ostrożnie wymknęła się z domu.

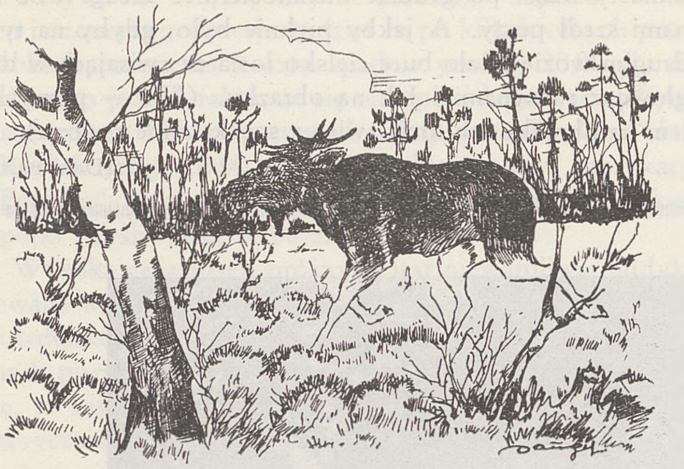
Owionął ją i odurzył rzeźki aromat namokniętej gleby i balsamicznej żywicy, wdzierający się przemocą do zmę= czonych atmosferą dusznego pokoju płuc, które piły go chciwie, jak życiodajny nektar, wypierający zakorzenione zarazki choroby, wytężające ostatki swych sił w walce z ożywczym ozonem. Chwiejąc się, potykając o pnie i le= żące na ziemi gałęzie, biegła Alina w las, na pagórek, z którego roztaczał się rozległy widok na całą perspek= tywę okolicznych borów, z której zębatą linją wyróżniały się wierzchołki drzew. Wyczerpana szybkim biegiem, upa= dła na zszarzałą ze starości ławkę i oparłszy się plecami o chropawą kolumnę starej sosny, zamarła w bezruchu.

Przyroda układała się do snu. Z dalekiej grupy giną= cych w mroku świerków, leciały ostatnie zwrotki pieśni szarego wirtuoza lasu — drozda=śpiewaka. Dźwięcznym, wysokim trelem drgało powietrze, roznosząc szeroko pro= ste, a jednak tak miłe dla ucha tony, które obijając się o konary drzew, słabły, traciły na wyrazistości i wreszcie wsiąkły w jednolity chorał boru, rozpływając się w me= lodyjnym szepcie drzew.

A kiedy umilkła już pieśń drozda i jedynie zadumany bór szemrał leciuchno w ledwie wyczuwalnym podmu= chu wiatru — gdzieś, zdaleka, jak brzęk niewidocznego komara, zalatywało warczenie krętolotnego bekasa, po= wtarzane w równych odstępach czasu, raz cichsze, zmodu= lowane, to znowu brzmiące wyraźnym minorowym tre= lem. Ucichło i ono, kiedy nagle pomiędzy czubami drzew chrapnęła słonka raz i drugi, a zaraz potem popłynął wy= soki, dźwięczny gwizd. Alina wzniosła wzrok ku górze, starając się ułowić na granatowem tle wieczornego nieba,

tak, jak na obrazie. Równym, posuwistym kłusem szedł łoś przez najrzadszą partję mszaryny — jakby łączkę... brakowało tylko stogu siana, a miałbym przed sobą żywy plagjat „Tęsknoty" Weyssenhoffa.

Pan Kandyba musiał się poruszyć, bo nagle łoś skręcił prawie pod prostym kątem i ruszył na sztych na mnie. —



Z Kandybowego krzaka wykwitł jeden, potem drugi pióropusz błękitnego dymu i zagrzmiały dwa strzały. Łoś szedł na mnie dalej...

Zełgałbym ordynarnie, gdybym powiedział, że nie pamiętam, co było dalej. Owszem: pamiętam wszystko jak najdokładniej. Pierwszy raz strzeliłem na sztych o jakieś piętnaście kroków, celując (o, wstydzie!) nie w pierś, lecz w ogromny łeb z rosochami. Gdy dym się rozwiał, ujrzałem łosia defilującego spokojnym kłusem już na lewo odemnie. Strzeliłem drugi raz na kroków dziesięć na łopatkę... Łoś nie zmienił tempa równego kłusa i migając białemi nogami oddalał się spokojnie, aż znikł w gęstwinie łóz i sośniaków. Po chwili, szczekając jękliwie i z trudem przeskakując na krótkich nogach przez kępy i zwały zjawił się „gończak", którym był zwykły pokurcz wielkości foksterjera z zakręconym w obwarzanek jak u świni ogonkiem. Ten dziwny okaz białoruskiej łajki przebiegł koło mnie, nie zwróciwszy nawet na mnie uwagi i pogonił dalej tropem spudłowanego łosia.

Wściekły, bezsilny żal, bardzo bliski płaczu, chwycił mnie za gardło... A przecież był to dopiero początek udręki, bo oto od stanowiska p. Kandyby zbliżali się do mnie ożywioną i gwarną czeredą... bracia myśliwi!...

— Panie! — krzyczał czerwony jak burak pan Staroniewicz — a wiesz pan, co dawniej robiono myśliwemu, który zwierza wypuścił z ostępu?... Nie wiesz pan?...

— Trudno: spudłowałem — mruknąłem bez przekonania.



— Że spudłowałeś pan, to widzimy. Ale nie w tem rzecz, że pan spudłowałeś! Pudła zdarzają się najlepszym strzelcom. Rzecz jest w tem, że wypuściłeś pan zwierza z ostępu!...

— A cóż miałem robić?...

---

ciemną, nietoperzową sylwetkę ciągnącego ptaka. Lecz chrapanie oddalało się, słonka przeleciała bokiem.

Dziewczę przywarło policzkiem do szorstkiego pnia sosny i zamknęło oczy. Jej pierś, podnoszona rytmicznym oddechem, chłonęła ostrą woń wilgotnej ziemi i gnijącego zeszłorocznego listowia, wytwarzającego specyficzny aromat wiosenny. Ciepły dech boru, pomieszany z rzeźkiem tchnieniem parującej gleby, pełną falą wchodził w jej zniszczone chorobą płuca, odświeżał je i zasilał przeogromnym zasobem tlenu. Alina nieomal czuła, jak każdy haust wdychanego powietrza wraca jej siły, koi stargane nerwy, uśmierza bolesny łomot spracowanego serca. Cisza zasypiającej kniei otulała całe jej jestestwo pieszczotliwie dobroczynnem uczuciem spokoju i ukojenia. Leniwa beztroska opanowała umysł dziewczęcia, zdarła zeń wyrazistość przeżytych cierpień, uniosła myśl w jakieś pogodne, słoneczne światy.

Niechętnie podniosła się z ławki i wolno, sennie, ruszyła borem ku domowi, w którym przed chwilą zapalono światło, migające tajemniczo wśród mrocznej kolumnady drzew. Czyste, wiosenne powietrze odurzyło ją i zmęczyło, w głowie miała dziwny zamęt, a pomimo to czuła się o wiele lepiej — wiedziała, że jest uzdrowioną.

I tego dnia, poraz pierwszy od dwóch miesięcy, usiadła Alina z bratem przy stole do wieczerzy, po raz pierwszy stwierdziła z przeogromną radością, że czuje się dobrze, że nic już jej nie dolega.

A wiosenna przyroda, jakby ciesząc się ze swego ożywczego wpływu na organizm ludzki, objawiała swą radość chichotem puszczyka, rozlegającym się w głębiach pogrążonego w mrokach nocy boru.

Zgasły światła leśniczówki w Osince, cisza zaległa jej wnętrze. Blady sierp księżyca wypełzł na gwiaździste niebo, rzucając snop srebrnych blasków na szyby pokoju Aliny, która spała zdrowym snem zmęczonego człowieka. Puszczyk sfrunął na pobliską gałąź, patrzał w okna, przekrzywiał głowę, przysiadł i znowu się wyprostowywał, aż wreszcie na rozpostartych nieruchomo skrzydłach, popłynął w gąszcze leśne.

— Jakto: „cóż miałem robić?"... Musiałeś pan krzyczeć, machać rękami, jednem słowem zawrócić łosia do ostępu... Po raz pierwszy w życiu zrozumiałem, ile jest groźnej przestrogi w słowach wieszcza o myśliwcu, który zwierza wypuścił z obławy... A pan Staroniewicz perorował dalej:

— Panie! ciesz się pan, że minęły dawne czasy, gdy za takie rzeczy dostawało się stęflami w...

Henio R., któremu żal mnie się zrobiło, rzucił hipotezę:

— A może łoś dostał?...

Milczący dotąd pan Cybulski zainteresował się i zwrócił się do mnie:

— A co łoś zrobił po strzale?

— Jak to — co? Nic.

— Ja się pytam, czy biegł dalej kłusem, czy zagalopował?

— Biegł kłusem.

— No to nie dostał, bo ranny łoś zawsze zagalopuje.

Smutny był dla mnie powrót do Łohojska. Wóz drabiniasty trząsł po grudzie niemiłosiernie. Drugi wóz za nami szedł pusty. A jakby pięknie było, gdyby na tym drugim wozie leżało bure cielsko łosia ze zwisającą w dół głową z rosochami... Jak na obrazku. (Nie — pomyślałem na obrazku łeb łosia zwisa z sanek, a nie z wozu)...

(Dok. nast.).



Fot. O. br. Brückmann

Niema skarga

ALFRED SANDER

Kilka uwag w sprawie rekonstrukcji ładunków

W polemice, jaka się toczyła przez kilka miesięcy na łamach „Łowca" na temat wad i zalet krajowej amunicji śrutowej, poruszył P. Józef Janicki sprawę rekonstrukcji ładunków. — Uważam ten głos P. Janickiego oraz zasłyszane na polowaniach lub w biurze M. T. Ł. enuncjacje innych myśliwych w tej materji, za charakterystyczne znamię naszych ciężkich czasów, za wynik panującego kryzysu pieniężnego, który każe i na tem polu szukać oszczędności, a to może nawet ludziom, którzy do niedawna z pewną dozą pogardy patrzyli na nabój rekonstruowany. Dlatego sądzę, że jest na czasie o tej sprawie nieco obszerniej pomówić. Nie zamierzam przechodzić systematycznie całego przebiegu sporządzania względnie przerabiania nabojów, ale chcę tu rozważyć, czy rekonstrukcja jest racjonalna, tj. czy i wśród jakich warunków może ona wydatnie obniżyć koszt strzelania, oraz czy naboje przerobione mogą zadowalająco zastąpić naboje fabryczne czyli nowe. Chcę nadto zwrócić uwagę na niektóre przyrządy i zabiegi, dające się przy przerabianiu nabojów użytecznie zastosować, a które, jak się o tem niejednokrotnie przekonałem, nie są znane wielu myśliwym, a to nawet takim, którzy naboje przerabiają.

Aby w kwestji pierwszej uzyskać jaśniejszy jeszcze na nią pogląd, należy się zastanowić ileby kosztowało sporządzanie ładunków przy użyciu lusek nowych, umyślnie w tym celu kupowanych. Przy mych w tym względzie obliczeniach, wziąłem za podstawę kal. 16, jako najwięcej używany, a także i dlatego, że cyfry dla niego miarodajne, nie będą się wiele różniły od tych, któreby się odnosiły do sąsiadujących z nim kalibrów 12 i 20, po nim najwięcej rozpowszechnionych.

Ponieważ 100 sztuk łusek (bez względu na kaliber) kosztuje w handlu 16,00 zł. — 100 sztuk przybitek tłu-

szczonych 1,50 zł. — 100 centek 0,12 zł., 160 gramów prochu marki najtańszej „Kuropatwa", potrzebnych na 100 ładunków 3,20 zł. — a wreszcie potrzebnych na 100 ładunków 2,70 kg śrutu — 3,92 zł., to nietrudno obliczyć, że setka tak sporządzonych ładunków będzie kosztować prawie 25 zł.

Oczywiście, że przy użyciu droższego „Sokoła" koszt ten jeszcze się podniesie, tudzież że po kilkakrotnych przeróbkach przeciętna kosztu spadnie poniżej 20,00 zł. nie zmieni to jednak faktu, że się nie opłaci kupować nowych łusek, skoro 100 szt. gotowych nabojów marki „Gryf" lub „Ryś" kosztuje 20,00 zł. a setka „Darzborów" fabrykacji „Pocisku" lub setka „Jubileuszowych" Warszawskiej Spółki Myśliwskiej 26,00 zł.

Wysoka cena łusek próżnych jest niewątpliwie podyktowana względami polityki handlowej krajowych wytwórni ładunków, gdyż sporządzanie ładunków z kupowanych łusek pociąga za sobą prawie automatycznie ich przeróbkę, ta zaś obniża zapotrzebowanie ładunków gotowych, fabrycznie sporządzonych. — Koszty własne, po jakich wytwórnie krajowe wytwarzają łuski, muszą być bardzo znacznie niższe niż cena ich oddania publiczności, skoro wytwórnie mogą oddać wcale dobre ładunki gotowe w cenie, jak wyżej powiedziano, 20 złotych za setkę.

Wynika stąd, że powziąwszy zamiar robienia ładunków w domu, należy kupować nie łuski, lecz ładunki gotowe, a dopiero po ich wystrzeleniu, przystąpić do rekonstrukcji. W takich warunkach można sobie powiedzieć, że się ma łuski zadarmo lub prawie zadarmo i nie brać tej najdroższej pozycji w kalkulację, w którą natomiast wchodzić będzie przy każdej dalszej przeróbce koszt spłonek, których 100 sztuk kosztuje 3,50 zł., a najlepszych sinoxidowych 4,50 zł. — Przy takiem założeniu, przeróbka oczywiście się opłaca, gdyż setka naboji przerobionych, będzie kosztować 12,50 do 13,50 zł.

Nie można jednak zapominać, że przystępując do fabrykacji ładunków w domu, względnie do ich przerabiania, trzeba „inwestować pewien kapitał zakładowy".

Do przeróbki są potrzebne: przyrząd do wymieniania spłonek — 5,00 zł., ważki z odważnikami na proch 14,50 zł., przyrząd korbowy do zakręcania naboji — 12,50 zł., i kalibrownik — 3 zł., co daje sumę — 35,00 zł.

O kalibrowniku i zakrętaczce będę mówił jeszcze poniżej, a tu wyjaśniam tylko, że przyrząd do wymieniania spłonek liczę dlatego tylko w cenie 5,00 zł., gdyż tyle kosztuje model P. Marjana Słońskiego, opisany w numerze styczniowym „Łowca", a ten nie tylko że zupełnie odpowiada celowi, lecz nawet, mojem zdaniem, przewyższa zaletami znacznie wybijacz systemu Barklay'a, kosztujący w handlach broni 10 zł. Pomijając bowiem, że jednym egzemplarzem modelu P. Słońskiego można obsłużyć co najmniej dwa sąsiadujące ze sobą kalibry, podczas gdy „Barklay" musi być dla każdego kalibru inny, to praca tamtym modelem, jako polegającym na dźwigni, jest fizycznie niewytężająca i niehałaśliwa, gdy tymczasem przy „Barklay'u", trzeba metalowy trzpień, zaopatrzony u góry drewnianą gałką, naciskać dłonią w dół z pewnym wysiłkiem, a jeżeli spłonka siedzi mocniej, pobijać gałkę dłonią lub nawet młotkiem. Można ostatecznie ograniczyć się do jeszcze tańszego przyrządu, w postaci zwykłego trzonu żelaznego i jakiejkolwiek metalowej płytki, grubości



Obraz Jerzego Kossaka „Św. Hubert", fundowany przez „Belskie Towarzystwo Myśliwskie" z okazji swego 50-lecia do ołtarza w kościółku „Na zameczku" w Bełzie — w miejscu kaplicy dawnego zamku wojewodów Bełskich, w której przez 3 wieki przechowywany był obraz Św. Łukasza — późniejszy obraz Matki Boskiej „Częstochowskiej".

około 1 cm, w której wywiercono dziurkę o średnicy nieco większej niż spód spłonki, ale przyrząd taki służyć może tylko do wybijania spłonek, a nie do zakładania nowych, te zaś nie zawsze dają się lekko wcisnąć.

Niestety bowiem średnice otworów na spłonki w stopkach łusek nie są bynajmniej standaryzowane i różnią się o części linij w różnych sortach łusek a nawet w różnych edycjach tych samych sort. Skutek jest taki, że trzeba nieraz pokonać dość znaczny opór, aby nową spłonkę w otwór wcisnąć, a czasem znowu wchodzą one tak lekko, że siedzą zbyt luźno i nie ma się wcale pewności, czy nie wypadną z ładunków, po włożeniu tychże do torby myśliwskiej. — Temu ostatniemu mankamentowi można zaradzić przez zwężenie otworu w denku łuski, co się uskutecznia po usunięciu zużytej, a przed założeniem nowej spłonki w ten sposób, że się wkłada trzpień żelazny odpowiednio u swego dołu uformowany do łuski od jej środka, a po natrafieniu na otwór raz lub dwa razy po trzpieniu młotkiem uderza. Wystarczy też pod spłonkę w chwili jej wciskania w otwór podsunąć kawałek nitki lub bardzo cienkiego szpagatu. Końce nitki, które po wciśnieniu spłonki będą z pod niej wystawać na zewnątrz,

należy następnie, choćby ze względów estetycznych, usunąć przez ich odcięcie lub osmolenie.

Jest oczywiste, że przez cały czas mówiłem o spłonkach „Gevelot" lub o naśladownictwach i ulepszeniach tego systemu spłonek. O dawniejszych spłonkach dających zapał wskutek uderzenia o kowadełko ruchome lub nawet stałe, lecz przytwierdzone do denka łuski, nie mówię nie tylko spowodu, że łuski tego rodzaju prawie że już wyszły z użycia, ale też i dlatego, że jestem zdania, że dopiero od zaprowadzenia spłonek „Gevelot" można mówić o takiej rekonstrukcji nabojów, której produkt może zadowalająco zastąpić naboje nowe, fabryczne. Pochodzi to stąd, że w systemie „Gevelot" cały mechanizm zapału zawarty jest w spłonce samej. Po wymianie zatem spłonki otrzymujemy zapał zupełnie nowy, nieustępujący niczem temu, który jest w ładunkach fabrycznych, a co ważniejsze, zapał niezależny od stanu samej łuski, podczas gdy przy łuskach dawniejszych, nie mieliśmy nawet przy pierwszej zmianie spłonki pewności czy ona uderzona bolcem broni, natrafi na konieczny opór kowadełka, osadzonego na denku łuski, gdyż osadzenie takie mogło się było obluźnić. Te właśnie obluźnienia się osady kowadełek były dawniej najczęstszą przyczyną niewypałów przy nabojach przerabianych.

(C. d. n.)



JAROSŁAW HUBALEK
Tłum. Wł. Karnkowski

„Cygan Mykita"

(Ciąg dalszy)

Tej jeszcze jesieni zawdzięczał Cygan swe ocalenie szczęśliwemu przypadkowi, który głęboko wrył się w jego pamięć. Szło wtedy o życie, a życie to wisiało na jednym włosku.

Dzień był chłodny, choć słoneczny. Późnym rankiem Cygan jeszcze się włóczył po lesie za pożywieniem. — W nocy miał pecha — wymknął mu się, prawie z mordy, ładny zajączek i teraz, głodny, choć paroma myszkami chce naprawić nocne niepowodzenie. A może i coś lepszego się przygodzi? Wszak nieraz słychać było w tej stronie piskanie młodych jarząbków. Jednego nawet upolował, a przyznać trzeba, że był znakomity. Z tą myślą zaczął się czołgać w to samo miejsce. Zatrzymał się chwilę na skraju tyczkowiny, potem jednym skokiem przesadził leśną ścieżkę i skierował się nad potok, wzdłuż którego, to bliżej, to dalej od koryta, wiła się stara droga leśna, prawie wcale nie używana. Zajęty był właśnie obwąchiwaniem spróchniałego pnia, gdy tuż nad sobą, na zboczu leśnem usłyszał wołanie jarząbka: „ Fiiii-Fiiii-Fiiii"! Zapomniał o wszystkiem cały w słuch zamieniony. — Wołanie powtórzyło się, jeszcze wyraźniejsze — z gęstej jedliny, otaczającej rozsochaty buk. Szło wyraźnie z ziemi, zdobycz więc była możliwa. Cygan zrobił parę kroków w kierunku głosu, nie biorąc nawet wiatru, bo cóż mu mogło grozić? — A jednak... Jeszcze krok jeden, drugi i z pod jodełki błysła lufa strzelby i snop śrutu przeciął powietrze, równocześnie z hukiem wystrzału. — Śmiertelnie wystraszony Cygan błyskawicznie obrócił się na pięcie i w tej chwili drugi strzał tuż za nim, zerwał z młodego buka garść suchych liści. Cygan rwał przed siebie, póki mu tchu starczyło. Zmordowany, ledwie żywy, z wywieszonym językiem, zatrzymał się dopiero na sąsiednim szczycie. Odpoczął trochę i kłusem puścił się w dalszą drogę. — Wciąż brzmiał mu w uszach huk strzału, wciąż miał wrażenie, że nieprzyjaciel go ściga, że jest tuż — tuż za nim. Co chwila oglądał się trwożnie za siebie. Szczęściem skończyło się na strachu, ani jeden śrut nie otarł się o kożuszek Cygana.

IV. PIERWSZA ZIMA.

Październik miał się ku końcowi i dnia raptownie ubywało. Ludzie narzekali na długie, bez końca noce, lecz Cygan bynajmniej na to się nie skarżył, zwłaszcza, kiedy się przekonał, że największy wróg jego, człowiek, w nocy nic nie widzi. Coprawda nie rozumiał, skąd to pochodzi, bo sam przecież nie gorzej widzi w nocy, niż w dzień; koniec końców niedawno przebiegł w nocy przez drogę pod samym nosem człowiekowi ze strzelbą i ten go wcale nie widział. Że człowiek niema węchu ,o tem wiedział Cygan dawno — przyjął więc za maksymę: jest to twór niebezpieczny tylko w dzień i strzec się należy jedynie jego zwroku i poczęści słuchu.

Dziś był Cygan już prawie dorosłym lisem. Tysiące drobnych przygód, tysiące szczęśliwych i nieszczęśliwych przejść, mniej lub więcej fortunnych przeżyć, zaznał w ciągu trzech miesięcy samotnego bytowania. Przedwcześnie dojrzał, spoważniał i zmężniał. Letni kożuszek już prawie zupełnie zamienił na zimowy z dłuższym włosem i miękkim puchem. Tylko — rzecz dziwna — inne lisy miały przód i dziś rudy, on zaś, zgodnie ze swem imieniem, miał przód ciemny, grzbiet zaś prawie czarny, jak również czarne nogi. Na zadzie tylko przeważał włos srebrzysty. Słowem był to wspaniały okaz węglarza (nazwa wedle J. Dylewskiego), tak wysoko ceniony przez myśliwych i kuśnierzy. — Niestety — sława i wartość tego rodzaju, nie ściele różami dróg życia.

Przez lato odwykł od nory — niepotrzebną mu była — więcej nawet, zdawało mu się, że krępowałaby go. Obecnie jednak zatęsknił do jakiejś stałej kryjówki, chroniącej go przed zimnem i deszczami.

Przypadek to był, czy instynkt, trudno odgadnąć; dość, że którejś nocy znalazł się w swej rodzinnej rozpadlinie górskiej. Stał na wystającym głazie i dumał. Miejsce wydało mu się znanem, a w wyobraźni, zrazu mętnie, potem coraz wyraźniej, odtwarzały się obrazy przeszłości, wspomnienia dzieciństwa. Zwierzę nie ma tak udoskonalonego mózgu jak człowiek i wrażeń minionych nie zatrzymuje tak trwale w pamięci; żyje chwilą obecną, mniej znacznie przyszłą, a już prawie wcale nie żyje — przeszłą. Wiedział

nasz Cygan tyle tylko, że coś go wiąże z tem miejscem i z tą norą, ale co to jest, i co to było, na to nie umiał sobie odpowiedzieć.

Poprzestając na tem, że to miejsce zna, zeskoczył z kamienia, sprawdził, że powietrze wokoło czyste i wsunął się do nory. Obszedł ją we wszystkich kierunkach i znalazł duże braki. Liście, któremi wysłane było legowisko, zawilgło i pachniało pleśnią. Lekki przeciąg w jednym kącie przypomniał mu o istnieniu ratunkowego wychodu. Z trudem przecisnął się przez niego, nora bowiem w tem miejscu znacznie się zwężała skutkiem oberwanej ze stropu ziemi i kamieni. Wszędzie czuć było zaduch stęchlizny i starego drzewa. Wyszedł wreszcie z nory, otrzepał się i doprowadził do porządku ubrudzony i potargany kożuszek.

Naogół mieszkanie nie przypadło Cyganowi do gustu. Przedewszystkiem nora lisia powinna — jego zdaniem — mieć więcej wylotów. Widocznie matka nie zdążyła jej poprawić i rozbudować, inaczej nie byłaby zapomniała o tym kardynalnym wymogu architektonicznym. Ratunkowy wylot też nie jest dobrze obmyślony; wychodzi na zbyt odkryte miejsce, a tem samem mija się z przeznaczeniem. Te spostrzeżenia tak dalece zajęły Cygana, że usiadł na zadzie, podrapał się za uchem i popadł w głęboką zadumę.

Niema dwóch zdań, że zimowe mieszkanie jest mu potrzebne i to koniecznie; już się rozpoczynają słoty, a co będzie potem? Więc, jeśli się przed niemi chronić, to przecież tylko pod ziemię. Tak przynajmniej mówi instynkt i ma rację.

Nie wiele myśląc, zabrał się do roboty. Przedewszystkiem usunął wszystkie stare liście, gnijące po kątach, wyrzucił wszystką ziemię i kamienie, oberwane ze stropu, a potem zaczął budować wylot ratunkowy. Jeszcze raz wybiegł na górę, aby się dobrze zorjentować w kierunku nowego chodnika i położeniu samego wylotu. Możnaby tu naprzykład, wprost na kłodę, gnijącą o dziesięć kroków od głównego wejścia. Albo jeszcze inaczej: dobrych dwadzieścia kroków od wejścia w stronę gęstwiny, wisi stary pień, podmyty przez wodę. Trzyma się ziemi jednym, może dwoma korzeniami, zresztą wisi w powietrzu; pod nim rośnie rozłożysta leszczyna i zakrywa go prawie zupełnie.

Wszystko to zbadał Cygan dokładnie. Przeszedł pod leszczynę w jednym, potem w drugim kierunku i przekonał się, że, gdyby tędy właśnie musiał ratować się ucieczką, byłby absolutnie kryty. O krok od pnia ciągnie się wprost z gąszczu wyrwa w lewo; jest wprawdzie ledwie na trzy ćwierci metra głęboka, ale to wystarczy. Cała trudność spoczywałaby w doskoku z gąszczu w wyrwę; nie trwałoby to jednak dłużej nad jedną sekundę — pozatem nie dojrzałoby go niczyje oko. A za wyrwą zwarte podszycie bukowe.

Sprawdził jeszcze wszystko praktycznie kilkoma próbnemi skokami i te powiodły się znakomicie. Pewny swego, zabrał się odrazu do roboty. Pracował długo i mozolnie. Wykopaną ziemię na szczęście miękką i podatną, garnął do ujścia, gdzie rozrzucał ją tylnemi nogami na wszystkie strony, możliwie najdalej i to tylko na gałęzie krzaków tak, aby ją zmył deszcz. Przy tej pracy zastał go wieczór, a równocześnie i wieczorny głód. Otrzepał się więc dokładnie, napił z potoczku i ruszył na nocne łowy.

Mniej lub więcej syty, powracał rano do pracy i pracował tak wytrwale, że po tygodniu dzieło było na ukończeniu. Kopał teraz swój tunel od drugiej strony i dziw nad dziwy, bez wyliczeń, bez mierniczych przyrządów, dokończył pracy z rozbieżnością osi obu kierunków nie przenoszącą ośmiu centimetrów. Wygładził wewnętrzne nierówności tunelu, usunął możliwie dokładnie wszystkie zewnętrzne ślady swej pracy i rad z siebie, znów ruszył na nocną włóczęgę.

Miał już „dach nad głową" na jesienne słoty, należało tylko właściwe legowisko wysłać dostatnio liściem; ale to chyba później, bo teraz już od tygodnia wciąż pada i o suchem liściu mowy niema. — W dolinach wezbrane potoki huczą jak rzeki, a rzeka jak morze. Ziemniaki jeszcze nie dokopane, potrawy już nie zielone — a ciemno bronzowe, pleśnią cuchnące. Ludziska co rano stają w oknach, daremnie wypatrując słonka i frasobliwie drapią się za uchem.

Nasz Cygan też posmutniał; nie ze współczucia dla rolnika — o — nie! Ważniejsze przecież, że woda wytopi po ścierniskach smaczne myszki, a to przecież podstawa lisiej egzystencji. Korzystał więc z czasu i mysiej głupoty. Wynalazł sobie ściernisko na wzgórku, dokąd myszy tłumnie zciągały z niżej położonych pól, unikając snać w ten sposób zalewu, a że jako przybysze, nie miały tu swych norek i przeważnie chodziły po wierzchu, więc brzuszek Cygana pęczniał, jak balon. — Dzięki dobremu odżywianiu się wyrósł i rozrósł się nad wiek i w zimowym, prawie czarnym, lśniącym kożuszku, stał się prawdziwie pięknym okazem węglarza.

Nadciągły wreszcie całym tabunem północne wiatry, porozpędzały ciężkie chmury i zima zwolna poczęła brać we władanie bożą przyrodę. Nocne przymrozki stawały się coraz dokuczliwsze, skorupa lodowa na mniejszych kałużach grubiała codzień, a ziemia w miejscach wilgotniejszych zamieniła się w twardą grudę. Na polach gorączkowo wykańczano jesienne orki.

I las zmienił swój wygląd. Wprawdzie od dość dawna chłodne wiatry obrywały liść po liściu, szło to jednak opornie i nie ze wszystkich drzew. Zwłaszcza buki i dęby trzymały się mocno, nic prawie nie tracąc z letniej szaty. Dziś, czego nie zmogły wiatry, strawiły przymrozki. Korony, wystawione na słońce, gdzie liść przez całe lato miał dostatek światła i skutkiem tego przestał już żyć, pierwsze zrzuciły letni przyodziewek. Za niemi poszły drzewa półramienne, najdłużej zaś trzymał się podrost, gdzie liść, choć zupełnie już suchy, wytrwale trzymał się macierzystej szypułki.

Daremny opór! Zima na cały kraj rozszerzyła swe panowanie. Srebrnym całunem przykryła każdy jego zakątek; nie zapomniała o żadnej polance, o żadnej ścieżce, białą czapą śniegu okryła najmniejszy głaz, czy zwaloną drzewną kłodę, młodej drzewinie zgięła ku ziemi harde karki dotknięciem swej władczej ręki.

Z niemałem zdziwieniem patrzył Cygan na pierwsze płatki śniegowe. Zrazu do najbliższych kłapał zębami biorąc je za maleńkie motylki. Ale motylek na języku się rozpuścił i dziwnie przyjemnie chłodził. — Co to jest?

Czyżby woda? Przecież wodę znał. Wiedział, że płynie, szumi, śpiewa, szemrze, huczy lub szepta. Ta zaś jest i niema i martwa, boć na pochyłości leży, nie spada, a bose stopy chłodzi, a nie moczy. I zapachu nie ma żadnego... A już najgorsze, że się nie rozpływa. Gdzie postawić stopę, tam zostaje jej wierne odbicie. Jakto? więc każdy ma wiedzieć, że tędy szedł Cygan...?

Niech to licho porwie! — Skrobnął parę razy łapką — ukazała się czarna ziemia. Powąchał — pachniała czemś butwiejącem, martwem. Wydrapał wiechetek twardej, zielonej jeszcze trawy. Niby żywa, a jednak nie ma swego właściwego zapachu. Czyżby więc i trawa była martwa?

W jak najgorszym humorze strzepnął z kożucha śniegowe płatki i wsunął się do ciepłej nory. Tu zwinął się w kłębek, otulił się puszystą kitą i zamknął oczy. Do lasu nie pójdzie dziś za nic w świecie. Jeszcze czego! Wlec za sobą ślady? Raczej wyśpi się porządnie, a może jutro pogoda się zmieni... Z tem postanowieniem usnął, lecz w nocy głód go obudził.

Pogoda się nie poprawiła. Przeciwnie; śniegu jeszcze przybyło. Cygan wyjrzał z nory i zdumiał się. Wczoraj jeszcze tu i ówdzie polatywały rzadkie płateczki — teraz wszędzie leży gruba, biała pierzyna. I wyloty nory do połowy zasypane... Najchętniej wróciłby do barłogu i przespał tę śnieżycę, ale co robić? Żołądek woła...

Wyszedł więc z nory, z obrzydzeniem strząsnął z siebie tę obmierzłą białą wodę, starannie owietrzył okolicę i puścił się w las. Jednym skokiem przesadził wyrwę, byle nie zostawiać tropów po sobie. Skoczył miękko i cicho, jak nigdy przedtem. To go ucieszyło. Dawniej tak nieznośnie szeleściły suche liście, że nie sposób było iść bez hałasu.

Choć do świtu było jeszcze daleko, widział wszystko dobrze, wiele lepiej, niż dawniej; na białym śniegu cienie i kontury rysowały się bardzo wyraziście. W nocy i tak widział dobrze, ale zawsze nie zawadzi widzieć jeszcze lepiej. — Bez najmniejszego szelestu sznurował młodym gąszczem bukowym, ciągle nastawiając uszy i wietrząc co chwila.

W lesie cisza głęboka, jeno gdzieś w dole, gdzie jesienią chodził na myszy, huka sowa żałosnym, kwilącym głosem. Rozmyśla może o niewidzialnych pod śniegiem myszkach i swem smutnem „Uhu-hu-huuu" wspomina lepsze czasu.

Przystanął nagle Cygan, spostrzegłszy zdala trop. — Obejrzał, obwąchał... szła tu sarna. Rozkoszny zapach... aż w brzuszku zakręciło.

C. d. n.



HENRYKOWI PREKOWI

na pożegnanie

Podjeżdżał saniami odyńca osaczonego przez psy. Wysiadł, postąpił kilka kroków, ujrzał go siedzącego, błyskającego kłami. Złożył się — mija sekund kilka bez strzału — — — broń wypada nagle z ręki — chwieje się, usuwa na śnieg — nie żyje! — — —

Taką śmierć wyprosił, widać, św. Hubert u Boga swemu wybrańcowi.

Był bowiem w szczególnych łaskach u św. Patrona łowiectwa.

Był jednym z czołowych myśliwych naszych, mistrzem w swym fachu, troskliwym hodowcą, fenomenalnym strzelcem i rzadko szczęśliwym w spotkaniach z grubą zwierzyną.

Był człowiekiem o żelaznym harcie ducha, dżentelmenem w każdym calu, czystym jak śnieg w ponowie, nie uznającym kompromisów ze swem sumieniem i dlatego zawsze prawdomównym, co myślał to mówił bez ogródek. Kochało go wielu, szanowali wszyscy.

Był wiernym przyjacielem, o najlepszem sercu, podawał rękę w nieszczęściu, wspierał radą i czynem.

Stary druhu! Ileż to wspomnień mnie z Tobą łączy! Karpaty, Turza, Rachiń, Wistowa, Łuka — — — sny złote o szczęściu myśliwskiem!

Bolesną łzą oko zachodzi.

Odleciała Twa dusza w błękity Boże, za Nią dążą nasze westchnienia — wieczny odpoczynek daj Jej Panie!

Albert Mniszek

Ś. † P.

KAZIMIERZ BRZEZIŃSKI

architekt-budowniczy, członek Oddziału i b. członek Wydziału Oddz. Małop. Tow. Łowieckiego w Krakowie; zmarł w Krakowie dnia 14 lutego 1936 r., przeżywszy lat 66.

Zamiłowany w myślistwie i prawidłowej gospodarce łowieckiej, okazywał również większe zainteresowanie dla spraw naszego Towarzystwa a w szczególności tegoż Oddziału w Krakowie, biorąc przytem od początku powstania Oddziału do niedawna jeszcze żywy udział we wszystkich niemal posiedzeniach Wydziału i zebraniach Oddz.

W Zmarłym tracimy z prawdziwym żalem wiernego Towarzystwu druha.

Pokój Jego duszy — cześć Jego zacnej pamięci!

Korespondencje

Rzeszów, w grudniu 1935.

Ad astra...

Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że rezultat jakiejkolwiek akcji indywidualnej, czy zbiorowej, pozostaje zawsze w prostym stosunku z nasileniem naszej woli i zależy od wielkości zapału, z jakim dążymy do raz obranego celu.

Kto chce mieć piękne urodzaje, musi wytrwale i umiejętnie polepszać strukturę gleby przez staranną uprawę mechaniczną, przez dobieranie nawozów i selekcję nasion, kto chce mieć zwierzynę w swoich własnych lub dzierżawionych rewirach, musi otaczać ją

najczujniejszą opieką osobistą, wykonywaną także przez dobrze zorganizowaną straż łowiecką, musi tępić wytrwale wszystkie szkodniki i walczyć bez wytchnienia z kłusownictwem.

Przeszkodzić mogą niekiedy tym wszystkim zabiegom i poczynaniom klęski żywiołowe, jak długie, śnieżne i mroźne zimy, powodzie i choroby epidemiczne zwierzyny, atoli na krótką jeno metę, na rok na dwa, ale na dłużej nie, bo zwierzyna w krótkim czasie, oczywiście, jeśli ma ochronę i opiekę, regeneruje się szybko i zaludniać zaczyna swoje naturalne osiedla bez względu na jakość gleby, konfigurację terenu i warunki klimatyczne. Drobna zwierzyna, jak: bażanty, kuropatwy, zające i sarny, rozmnożą się zawsze zdrowo i licznie, jeśli będzie miała zapewnioną staranną opiekę.

Te prawdy oczywiste, które złożyły się w sumie na niezwykłe, jak na nasze stosunki, sukcesy łowieckie, stwierdziłem z najwyższą radością na dwudniowem polowaniu w dniach 9 i 10 grudnia 1935 r. w Tryńczy, w powiecie przeworskim u p. Dra Marjana Nowińskiego. Pierwszego dnia ubiliśmy na polach w 16 strzelb: 160 zajęcy, drugiego w lesie w 18 strzelb 185 zajęcy i 1 lisa. — Razem padło: 345 zajęcy i 1 lis!... Opolowano około 3.600 ha pól i 400 ha lasu.

Pogoda nieszczególna, 5^0 C ciepła przy porywistym wietrze. — Stopa czarna. Zające dosiadywały zatem twardo i bardzo niechętnie wstawały, w lesie zaś cofały się masowo na nagonkę.

Również i myśliwi nie zawsze równo strzelali, pudłując często i gęsto, co się na czarnej stopie zwykle zdarza. Wiadomo, dlaczego... W lesie strzelano już znacznie lepiej.

Na śniegu i mrozie byłby pokot osiągnął cyfrę 500 sztuk co najmniej!

Gdy się zważy, że przed dwoma laty nawiedziła Tryńczę i jej okoliczne pola wielka powódź, spowodowana deszczami i wylewem Wisłoka i Sanu, że gleba jest tam naogół licha — piaszczysta lub madowa, że niekiedy i druciarze tam zaglądają i kłusownicy z bronią wtargnąć mogą i że wreszcie warunki atmosferyczne niezawsze rozmnoży zajęcy lub kuropatw sprzyjają, pogratulować należy serdecznie i szczerze Szanownemu Gospodarzowi tego wspaniałego wyniku.

Jego uparta wola, zdążająca celowo do stałego pomnażania zwierzostanów, jego hodowlana praca, wybitna znajomość biologji łownej i drapieżnej zwierzyny, co specjalnie podkreślam, jego czujność i codzienna opieka, jego mądra organizacja straży łowieckiej — sprawiły swoje i dały mu taką, jakże przyjemną — nagrodę — za wszystkie poniesione dla szlachetnego łowiectwa trudy.

Aż serce rosło, gdy się widziało rojące się na sposób mrówek, w niektórych miotach — zające. A jakie? Nad podziw zdrowe, dorodne, mięsne! Tylko wśród kuropatw znać jeszcze było ujemne skutki powodzi.

Jeśli w innych stronach, np. w rzeszowskiem, jest zajęcy dość mało i przyczyny tego manka dojść na razie nie możemy, to w Tryńczy jest ich mnogo i będzie w przyszłym roku jeszcze więcej, bowiem ostrożny hodowca - myśliwy pozostawił znowu, jak zresztą rokrocznie to czyni, kilkaset ha nieopolowanych, nietkniętych!

Nic dziwnego też w tem, że gdy wieczorem gościnne salony tryńnieckiego dworu podejmowały licznie zgromadzoną elitę myśliwych, zapanował wśród nich nastrój radosny i że w częstych, a pięknych przemówieniach nie szczędzono Kochanemu Gospodarzowi i Łowczemu, wyrazów rzetelnego podziwu i głębokiego uznania dla Jego znakomitej łowieckiej gospodarki.

Władysław Gürtler.

W dniu 23 listopada 1935 r., odbyło się polowanie na czarnej stopie w kniei p. J. Myszkowskiego w Łuczycach. Pogoda tylko częściowo dopisywała do południa, po południu przeszkadzał deszcz ze śniegiem. — Na rozkładzie znalazł się 1 dzik, 7 lisów, 1 rogacz z rogami i 16 zajęcy. Strzelane były pozatem 3 dziki i kilka lisów bez skutku.

W parę dni po polowaniu przy przypadkowych spotkaniach na śniegu, padło jeszcze 6 dzików, z czego gospodarz, acz z przykrością, musiał zapisać na własne konto 4 dziki (z jedną ładną trypletą). Nadmienić muszę, że knieja łuczycka, położona pomiędzy dwoma ostojami dziczemi, a to: lasami hr. Czackiego w Porycku i p. Urbańskiej w Tartakowie, będzie w niedługim czasie jedną z pierwszych w powiecie, dzięki celowej gospodarce właściciela, który nie szczędzi wkładów i karmy dla zwierzyny tak szarej, jak i czarnej — a swą silną ręką broni granic lasu przed kłusownikami i przed łowcami przyległych terenów gminnych, nieprzestrzegającymi warunków etyki myśliwskiej.

W dniu 24 grudnia 1935 r., przy bardzo ładnej pogodzie, polowano w Spasowie u p. Romanowskich, z rezultatem 22 zajęcy i 2 lisów. — Stan zajęcy w powiecie sokalskim po prawej stronie Bugu był zawsze słaby, a obecnie jest fatalny, bo conajmniej o 50% słabszy, niż w sezonie poprzednim. Podobny stan zajęcy jest i na sąsiednich terenach Wołynia. Lisy ciągle jeszcze spotykamy parszywe. Kłusownictwo nie zmniejsza się, a raczej jeszcze się potęguje. — W sprawozdaniu swojem podaję wiadomości z prawego brzegu Bugu, mnie bliższego i więcej znanego. Lewą stronę Bugu pozostawiam innym kolegom-delegatom. S. B.

Sielec Bieńków, 23 grudnia 1935.

Dnia 11 grudnia 1935, polowaliśmy u p. Doroty Słomnickiej w Bożykowie, pow. Podhajce. W 9 strzelb i 60 nagonki, wzięliśmy 9 miotów leśnych i 3 polne. Zajęcy padło 97 oraz 3 lisy. Stan zajęcy dobry. Polowanie jak zwykle dobrze prowadzone przez p. Inż. Bohdana Zienkowicza, odbyło się niestety na czarnej stopie, przy kilku stopniach ciepła.

Dnia 14 grudnia 1935 r., przy małym mrozie, odbyło się polowanie w Słobódce Strussowskiej pow. Trembowla u pp. Bohdanów Zienkowiczów. Wzięto w 14 strzelb, 5 kotłów 89 zajęcy. — Stan zajęcy średni. A. B.

Sądowa Wisznia, 20 stycznia 1936.

Dwudniowe polowanie na dziki w Kamieniu.

Kamień — to dla myśliwego, który go poznał, słowo pełne prawdziwych wzruszeń — przeżyć — nadziei. Jak wśród drogocennych kamieni najszlachetniejszy, tak wśród kniei znamienitych, będących ostoją dzików i jeleni, Kamień stanowi bezcenną perłę.

Rewir ten położony w widłach Wisły i Sanu, stanowi kompleks zamknięty zgórą 12.000 morgów lasu, przeważnie o bukowych i jodłowych drzewostanach, bądź czystych, bądź też mieszanych, będący znakomitą naturalną ostoją dziczego i jeleniego rodu. Ten kompleks lasu, skutkiem nadmiernych szkód, wyrządzanych przez dziki, jakie opłacać musiał jego właściciel Antoni br. Götz-Okocimski mieszkańcom wsi okolicznych, został na przestrzeni większości swych granic otoczony silnem ogrodzeniem drewnianem, jak również niewielka przestrzeń pól i ogrodu, okalających pośrodku kniei położony zamek myśliwski.

W pociągu spotykam zaraz towarzysza podróży i przyszłych łowów dziczych w Kamieniu — p. Stanisława Cieńskiego. Ze stacji w Łętowni wiezie nas szybko „Lancia", wysłana przez gościnnego Gospodarza, do odległego o jakie 20 km Kamienia. Otwierają się w świetle reflektorów ciężkie wrota ogrodzenia lasu i wjeżdżamy do kniei. Mijamy oddziały za oddziałami — oświetlane silnem światłem migają drzewa, buki i jodły i rosną w oczach w miarę jazdy z młodników, w stare omszone drzewostany. Mijamy rezerwat, parę zakrętów, wyboi, i stajemy przed rzęsiście oświetlonym zamkiem myśliwskim. — Wita nas Gospodarz, jak zawsze na polowaniu w świetnym humorze, mimo aury fatalnej i braku śniegu. Ten ostatni nie wpływa widocznie na humor, bo w Kamieniu dzików szukać nie trzeba. Wszak zjadły już pół zapasu zimowego ziemniaków z piwnic, po lesie rozrzuconych i mimo warunków wyjątkowych tej zimy, bombardują ogrodzenia wyłamując je tu i ówdzie i ryją łąki leśne i glebę wśród buczyny, za żerem. Dyrektor lasów oraz zakładów drzewnych w Kamieniu inż. Strumiński, zamiłowany hodowca zwierzyny i myśliwy, oblicza ilość pogłowia dziczego na dwieściekilkadziesiąt sztuk, tropionych na pierwszym śniegu. Rok 1934/35 był spokojny i dziki, zwłaszcza te najmłodsze, nie zawarły znajomości z wrogami z pod znaku św. Huberta.

Po powitaniu Gospodarstwa Obojga i wcześniej przybyłych myśliwych — posiłek i spoczynek, po którym rozpoczną się nazajutrz dwudniowe łowy na dziki. A prawdziwe to misterjum te łowy w Kamieniu. Wygodne linijki na kołach, zaprzężone w doskonałe konie uwożą nas w las. Poruszymy się szybko, a dwie nagonki według ściśle ułożonego planu bojowego prowadzone przez straż łowiecką spełniają swą rolę z podziwu godną precyzją i umiejęt-

nością. Nad ruchami tych dwu armji czuwa inż. Strumiński, bez broni, spokojny i milczący śledzi przebieg łowów, miejsca postrzałków i robi raczej wrażenie człowieka, któremu może żal tych dzików, które mają okrasić rozkład łowów tegorocznych.

Knieja w Kamieniu mimo szaty bezśnieżnej, przybrała wygląd odświętny — uroczysty. Linje szerokie, ubrane koszami stanowisk, wyplecionemi ze świeżej jedliny. Przy przejeździe z miotu do miotu, można zauważyć „łączników" i flankierów nagonki, pojedyńczo rozstawionych z chorągiewkami w ręku. Tylko konieczna ilość sygnałów trąbek i rogów a czasem krzyk nagonki, zawracającej usiłującą się przez nią przebić watahę dzików, jest znakiem słuchowym jej akcji. — Gospodarz sam rozstawia myśliwych na stanowiskach, a pierwsza jego linijka, wiedzie nas z miotu do miotu.

Niema chwili straconej, niema pośpiechu; po zajęciu stanowisk zaraz sygnały trąbek i rogów dalekie, niosą się echem po lesie — zwiastując rychłe spotkania.

Przygotowanie — organizacja i sposób prowadzenia łowów przez Gospodarza, to kunszt prawdziwy wielkiego myśliwego, który (zda się czasem, że nie interesuje Go ilość zabitych w miotach dzików) prowadzi te łowy, pragnąc utrzymać tradycję ukochanego Kamienia, uważając pilnie, by nie wkradło się nic, coby nastrój łowów zepsuć mogło i wywołać krytykę starych omszałych buków i jodeł boru. A mają się czem pochwalić i bór i Gospodarz. — W ciągu dwóch dni, przeszło linje myśliwych i flanki zgórą 100 sztuk dzików. We wszystkich miotach za wyjątkiem jednego, strzelano do dzików i strzelano dużo...

Wspaniałą okrasą łowów były stada jeleni, skradające się, wolno sunące, lub w pełnym biegu. W jednym miocie widziałem stado złożone z 11 byków i około 30 łań. — Widok imponujący.

Na rozkładzie dwudniowego polowania legło 19 dzików, 3 lisy i parę zajęcy. Będę szczery — rozkład ten nie odpowiadał łowom i kniei. Dlaczego!? Po pierwsze brak śniegu, a następnie deszcz z małemi przerwami urozmaicał polowanie, przechodząc w drugim dniu łowów w burzę z grzmotami i piorunami, oraz gradem wielkości orzecha laskowego, między godz. 2 a 4 po poł. Brak możności tropienia postrzałków i znalezienia, zmniejszył też liczbę dzików na rozkładzie, o parę sztuk. A Kamień stać przecież i na 60 dzików na rozkładzie, bez uszczerbku dla tego szlachetnego zwierza, tak już bywało i tak zapewne i będzie. Jeszcze jeden obrazek myśliwski: Myśliwy i to całą duszą oddany łowom, to Żona Gospodarza, towarzysząca Mu przez cały czas łowów na stanowisku, szkoda że poluje bez broni — podkreślając Swym udziałem — jedynie wielkie umiłowania Obojga Gospodarzy dla swego Kamienia i łowów.

A teraz wrażenia — suma ich znaczna o dużej a rozległej skali. Knieja dla myśliwego to przecież jak dorodna, pełna życia i powabu młoda dziewczyna, która umie wabić, przyciągać sobą i uwodzić — zawsze zalotna, zawsze niestała a jednak pełna radości życia i dlatego pożądana. I tę i tamtą trzeba zdobywać, a ta chęć wspólna zdobycia i zaspokojenia pożądania — pragnienia, to może pierwotna ale najistotniejsza cecha duszy męskiej. Nawet ten mistrz, który poznał jej kunszt uwodzicielski, którego nie zmylą jej kaprysy chwilowe, nie jest w stanie jej opanować i posiąść wyłącznie. Świadoma swej urody i wdzięku, ucieka, by zależnie od kaprysu zarzucić ręce na szyję innemu przygodnemu kochankowi, którego wybierze, a prócz chwil radości, zwycięstwa i upojenia daje nieraz i chwile udręki i tęsknoty. — Z Kamienia nie wyjeżdża się bez wrażeń.

Dzięki Gospodarzom za królewskie łowy, dzięki św. Hubertowi, któremu wyspowiadałem się już ze swych grzechów i wrażeń, przeżytych poto, by obudziły tem większą tęsknotę za — knieją.

K. Mars.

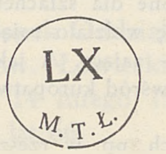
WYJAŚNIENIE

W artykule p. t. „Kilka uwag" zamieszczonym w Nrze 2/36 „Łowca" domagał się Pan Hieronim hr. Tarnowski, by nowela do ustawy łowieckiej zawierała zakaz strzelania śrutem, loftkami i kulami z karabinków kal. 22 do rogaczy, danieli, jeleni, łosi, niedźwiedzi i dzików, tudzież wilków i rysi.

Jako jeden z przedstawicieli Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego do Komisji dla nowelizacji prawa łowieckiego, jaką w r. 1933 wyłonił był Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich, jestem w możności stwierdzić, że temu słusznemu życzeniu Szanownego Autora stało się już w znacznej mierze zadość, gdyż w projekcie nowelizacji, jaki w owym roku został następnie przedłożony Ministerstwu Rolnictwa i Reform Rolnych, zamieszczono w artykule 58 drugi ustęp o następującem brzmieniu: „Nie wolno strzelać śrutem (loftkami, siekańcami) do niedźwiedzi, łosi, jeleni, danieli, sarn, kozic i dzików".

Także odnośnie do drugiego postulatu P. Tarnowskiego, aby nowela nakładała na starostów bezwzględny obowiązek zasięgania opinji delegatów M. T. Ł. względnie P. Z. S. Ł. przy wydawaniu kart łowieckich i zatwierdzaniu dzierżaw polowania, jestem w miłem położeniu móc wyjaśnić, że jakkolwiek projekt noweli nie zawiera może tak ściśle sformułowanego postanowienia, to jednak zawiera on szereg przepisów, które, jeżeli prawem się staną, zapobiegną skutecznie niedomaganiom obowiązującego dziś prawa łowieckiego w tych właśnie kierunkach.

A. Sander.



TREŚĆ NUMERU 3:

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 6·— zł.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedyńczego numeru 1 zł. — Ceny ogłoszeń: cała strona 120 zł., ½ str. 70 zł. ¼ str. 36 zł., ⅛ str. 20 zł., 1/10 str. 12 zł. — Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 15 gr. za wyraz, tłusty druk, grube litery po 20 gr. Najmniejsze ogłoszenie zł. 2. Znaki pisarskie liczy się za wyrazy.

Redakcja i Zarząd Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego dla wpłat członkowskich: Lwów, ul. Ossolińskich 11, I p. schody 5, drzwi Nr. 44. Godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małop. Tow. Łow. we wtorki i piątki o godz. 12-tej. — Redakcja nie zwraca rękopisów już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty. — Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 218-59. — Administracja: Księgarnia Gubrynowicz i Syn, właść. A. Krawczyński, Lwów, plac Katedralny 9, tel. 228-81. Oddział w Krakowie ul. Kremerowska 12, P. K. O. 405.265.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.

Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Tel. Nr. 119-50.